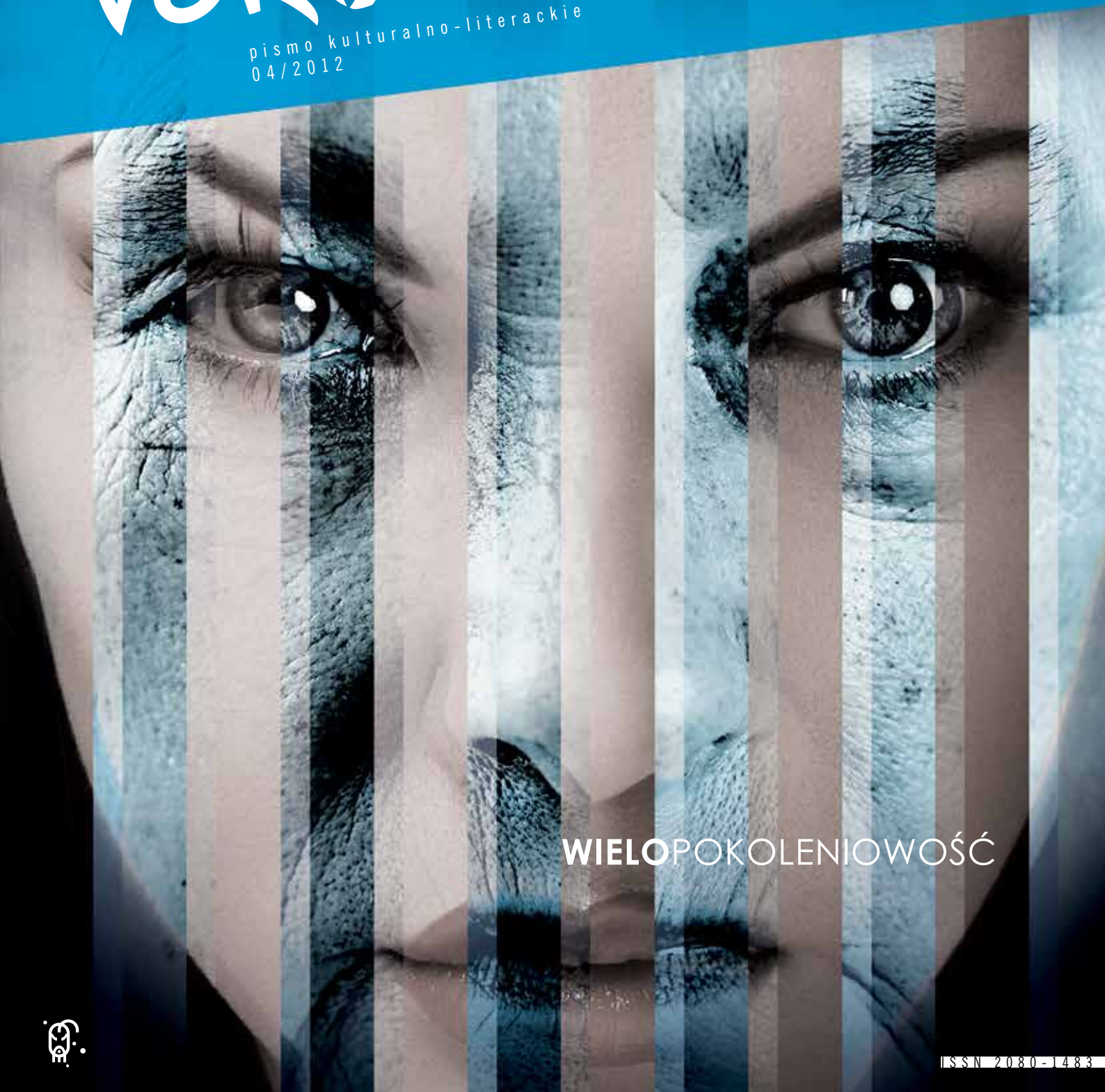


VariArt

pismo kulturalno-literackie
04/2012



www.wbp.olsztyn.pl



WIELOPOKOLENIOWOŚĆ



ISSN 2080-1483

Anna Rau

FOTOMONTER XVI

Co zostało? – pomyślał Ostatni, rozglądając wokół. Niebo zasłaniał brudnoróżowy opar. Nad horyzontem mógł zobaczyć wielką wyrwę – nawet w niebie! – w kształcie bezdennej czarnej dziury, w centrum której ostro migotała biała żarówka gwiazdy.

Nie ma już żarówek. A On jest nikim.

Wir powietrza zrobił rozpadlinę w przestworzach. Stup ognistego oddechu wielkiego smoka obrócił w popiół całą dotychczasową rzeczywistość: element po elemencie. Nie zostało nic.

Nie ma miasta. Są ruiny. Kupa gruzu. Zwalone w beładnych hałdach już nigdy więcej nikomu niepotrzebne cegły.

Tu kiedyś był stary ratusz. Stojąc na ruinie zabytku z 13 wieku, Ostatni znajdował się mniej więcej na wysokości odbudowanej w 2003 r. wieżycy. Stał i rozglądał się, nie wierząc własnym oczom. Jeszcze wczoraj centrum Olsztyna strzegł pięciokąt wież: ratusza, katedry, kościoła Serca, zamku, kościoła garnizonowego. Nie ma już wież.

Niedawno dookoła staromiejskiego rynku ciągnęły się nierównym pierścieniem kamienice – i w dół ulicą Proszą, do mostu na Łynie. Lecz nie ma już Łyny.

Nie ma wieżowców na ulicach Żołnierskiej, Kołobrzeskiej, nie ma osiedli na Nagórkach, Pieczewie czy Zielonej Górcy. Nie ma tak często wyklinanych dziur w jezdniach ani tak pożądanych ścieżek rowerowych. Nie ma parków, ogródków działkowych, fontann, marketów, koszyków, parkomatów, pomników, krzywych chodników, tablic pamiątkowych, cmentarzy, rond, billboardów, wystaw sklepowych.

Nie ma życia: drzew, pięciu jezior, zwierząt, srok, wiewiórek, kaczek, sikorek, srok, gołębi, wróble, psów, kotów, myszy, pająków, stonóg, mrówek i ślimaków.

Koniec narzekań na ciśnienie, opady, upały, mrozy, chlapę pośniewową, komary, stonkę, połowy dorsza i Boże Narodzenie świętowane w handlu w listopadzie. Zima już nie zaskoczy drogowców. I nie ma już problemów z budżetem, dotacjami, donacjami, projektami oszczędnościami, deficytami, wydatkami, pożyczkami, konsultacjami, mandatami, zabytkami, zaniedbaniami, obwodnicami, śmieciami, parkingami, stadionami, wykopaliskami, spóźnieniami, odkryciami, promocjami i zadłużeniami. Koniec. Nie ma ludzi.

Jak teraz żyć... Pytanie „Po co?” zostaje na jutro – ale nie ma jutra.

I nie było warto się przejmować! Trzeba było całymi dniami jeść racuchy ze śmietaną i leżeć do góry brzuchem jak foka. Samemu albo z kimś. Najpierw samemu, a później z kimś, a potem – według upodobania. I tak w kółko. Przeczytać coś bardzo nieambitnego. Skoczyć



Olsztyński artysta-amator i jego rzeźby ze śniegu (1953 r.).
Dziękuję WBP: Ryszard Sternik.
Fot. ze zbiorów dż WBP w Olsztynie

na bombę w nowym basenie. Przepuścić wszystkie oszczędności. Nauczyć się kaligrafii. Wypuścić karpia na wigilię. Przespać dobę. Wyjechać do Danii. Ogolić się na tyso, albo zapuścić dredy.

Jest 21 grudnia 2012 roku¹. A on jest Ostatni.

Nie zostało nic.

¹Według obliczeń związanych z Wielkim Kalendarzem Majów koniec świata wytypowano na 21 lub 23 grudnia 2012 r.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau,
Anita Romulewicz, Waldemar Tychek
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika: Iwona Bolińska-Walendzik, Przemek Kozak, skład: Sylwia Białecka
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

02	Fotomonter XVI
04	Wywiad z Kirą Gałczyńską
06	Poezja → Kenneth White
07	Proza → Bobbie B. Barlow
08	Dramat → Lech Brywczyński
11	Bookriders – kulturalne jazdy z Warmii i Mazur
12	Panorama Poetycka → Piotr Parulski → Iwona Bolińska-Walendzik → Bożena Kraczkowska → Leszek Rogalski
14	Wystawa „Kryzys i Format”
16	Galeria VariArt-u Eugeniusz Geno Małkowski
18	Recenzja literacka
20	Muzyczna rodzina Jarmołowiczów
22	Recenzja literacka
24	Dni Kultury Żydowskiej
26	Ankieteria
28	Esej → Waldemar Tychek
30	Poezja → Arno Holz
31	Szkice z obrazkiem

Wielopokoleniowość jest dzisiaj raczej wartością niż stanem, gdyż rzadko spotkamy trzy pokolenia mieszkające pod jednym dachem. Niemniej w życiu kulturalnym zauważyć można sytuację zgoła odwrotną – dzieci i wnuki kontynuują działalność rodziców i dziadków, często dyskutując z nią i spierając się o pryncypia lub szczegóły. O takiej ewolucji kultury pisze Waldemar Tychek, przywołując kolejne pokolenia olsztyńskich historyków, literatów i dziennikarzy – Małków, Piechockich i Ogrodzińskich. Ewa Zdrojkowska rozmawia z Kirą Gałczyńską o zielonym Konstantym i srebrnej Natalii. Danuta i Włodzimierz Jarmołowiczowie opowiadają o tradycjach muzycznych w swojej rodzinie.

Ale nie tylko o pokrewieństwo krwi chodzi. Nie do pomyślenia jest istnienie życia kulturalnego bez przekazywania umiejętności, wiedzy, doświadczenia z generacji na generację – i to w obydwu kierunkach. Stąd i w „VariArcie” wielopokoleniowa panorama poetycka oraz grafiki mistrza Wiesława Bieńkuńskiego i jego uczniów: Małgorzaty Chomicz i Aleksandra Woźniaka, którzy sami zostali mistrzami kolejnych uczniów. Ponadpokoleniowy charakter miała również inicjatywa Geno Małkowskiego, który gromadzi i wystawia, nie bacząc na wiek, bo ważne jest, by było „powszechnie i tłumnie”.

Młodzi często zadają pytania, a rodzice szukają odpowiedzi. Dziadkowie zaś rozglądają się po świecie i odkrywają siebie – zapomniane talenty, nieodkryty potencjał. O pasjach członków Stowarzyszenia Klub Plastyka Amatora „Sąsiedzi” i studentów Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Olsztynie przeczytacie w ankiecie.

Poza tym w „VariArcie”, jak zwykle, wielość sztuk, form i pokoleń – proza i dramat w jednym akcie (Bobbie B. Barlow i Lech Brywczyński), tłumaczenia poezji Kennetha White’a (Kazimierz Brakoniecki) i Arno Holza (Krzysztof D. Szatravski), fotomonter i szkice z obrazkiem oraz recenzje literackie (Anita Romulewicz, Anna Rau) i muzyczne (Krzysztof D. Szatravski). Joanna Wilengowska prezentuje wyjazdowy program TVP Olsztyn i WBP – Bookriders – kulturalne jazdy z Warmii i Mazur. W galerii o kondycji ludzkiej – Eugeniusz Geno Małkowski.

Redakcja (wielopokoleniowa)
życzy przyjemnej lektury (w rodzinnym gronie)

WIELOPOKOLENIOWOŚĆ

Dług wobec nich ogromny

Rozmowa Ewy Zdrojkowskiej z Kirą Gałczyńską

Ewa Zdrojkowska: Refren „ocalić od zapomnienia” przychodzi mi na myśl, gdy biorę do ręki pani książkę *Srebrna Natalia*. Ów refren pochodzi z cyklu *Pieśni*, będących podsumowaniem najważniejszych motywów poetyckich Gałczyńskiego, a także swoistym *credo* poety.

Kira Gałczyńska: Jest to niewątpliwie testament poetycki Gałczyńskiego, choć nie był tak zaplanowany. Zaplanowany był jako jeszcze jeden cykl wierszy o Natalii. Testamentem się stał po grudniu 1953 roku.

Kiedy się poznali, po dwóch czy trzech tygodniach podarował jej wiersz, który się nazywał *Portret panny Noel*, i powiedział jej: „Przez całe swoje życie będę pisał jeden miłosny wiersz dla ciebie”. Kiedy po jego śmierci w 1953 roku myślałam o tym związku, to zdałam sobie sprawę, że ten niełatwy partner dotrzymał słowa, bo *Pieśni* są wielkim, cudownym wyznaniem, jeszcze jednym wyznaniem miłosnym. I jednocześnie jak gdyby kontynuacją tego, co pojawia się w wierszu *Saskia*. Tam on pisze: „Złotą chmurą zostaniesz w legendzie”, a w *Pieśniach* chce ocalić od zapomnienia „chmurność oczu”, rękę, uśmiech. A ocalenie od zapomnienia jest potrzebą wszystkich ludzi, którzy wchodzą w pewien wiek, dla których przeżyta przeszłość staje się bardzo ważną częścią życia. Wtedy każde najmniejsze wspomnienie o tej przeszłości jest czymś niezmiernie ważnym. Tak było i ze mną.

E.Z.: O poecie wiemy bardzo wiele, natomiast o towarzyszącym mu przez dwadzieścia trzy lata Natalii, używając jego słów – „w pogodzie i niepogodzie” – niewiele. Długo zwlekała Pani z podjęciem decyzji o napisaniu książki o matce?

K.G.: Przymierzałam się do niej od dobrych paru lat. Najpierw pojawił się *Zielony Konstanty*, a dopiero po sześciu latach powstała ta książka. Wielokrotnie ją zaczynałam i nie umiałam pisać w sposób taki, w jaki chciałam czytać opowieść o Natalii. I nagle, właściwie niemal z dnia na dzień, zdecydowałam się wsiąść w samolot i polecieć do Gruzji, czując, że nawet jeśli nie dotrę do archiwów, niczego nie odnajdę, żadnych dokumentów, nikogo nie spotkam, to wystarczy mi zapach tego kraju, pejzaż, spotkanie z jednym, drugim, dziesiątym Gruzinem.

E.Z.: Odnalazła też Pani swoje gruzińskie korzenie.

K.G.: Tak, we mnie przecież płynie krew trzech narodowości, polska jest wymieszana z gruzińską i rosyjską. Takie były dwa domy mojej matki, z tamtych stron pochodzili jej przodkowie. A mój ojciec stworzył z tego bajkę. Kiedy się poznali, powiedział jej: „Umówmy się, że znamy się od dziecka, i że ty przyjechałaś do mnie z Gruzji konno”.

I w tę bajkę wszedł mój tok myślenia o niej. A ona się przecież urodziła w Kaliszu, ale gdzieś była ta jej gruzińskość... Wiele cech jej charakteru rozumiałam dopiero po pobycie w Gruzji.

E.Z.: Jeden z rozdziałów książki zatytułowany jest „Natalia opowiada”.

K.G.: Do tej opowieści namawiałam ją bardzo długo. Na przełomie lat 1968-1969 opowiedziała mi o pierwszych dziesięciu latach swojego życia z Konstantym. Wszystko zapisywałam, a potem starałam się w miarę wiernie odtworzyć, nie ingerując w jej opowieść, nawet jak tu i ówdzie zdarzały się oczywiste potknięcia. Chodziło mi o to, aby w książce były dwie opowieści – moja i Natalii – i aby różniły się między sobą tak, jak my dwie jesteśmy różne.

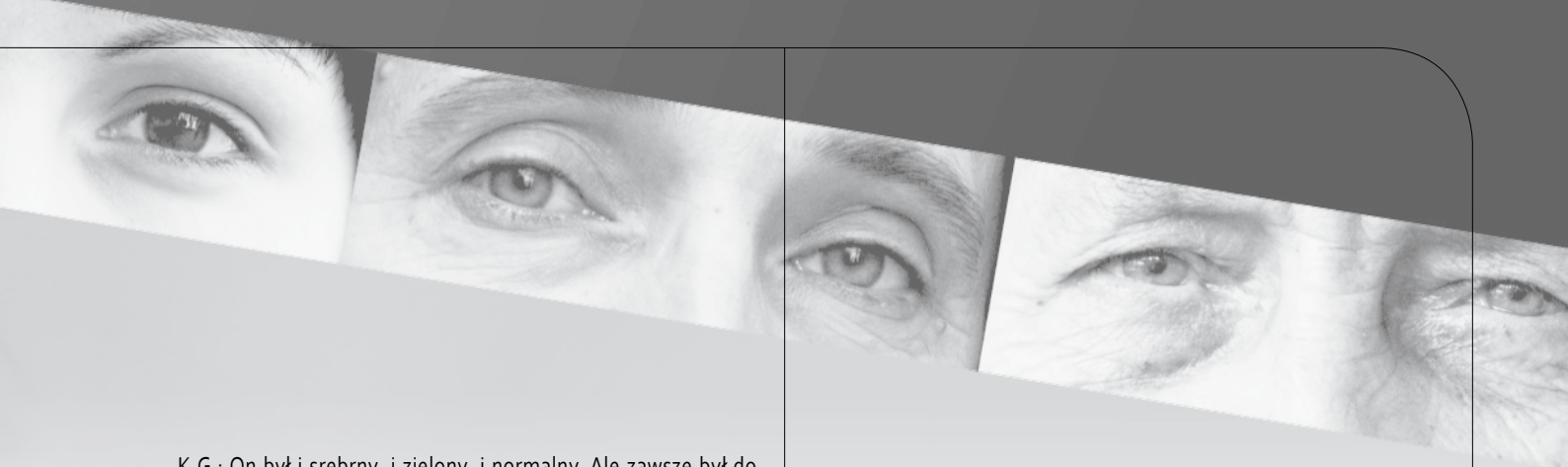
E.Z.: Pisanie o kimś bliskim zapewne do zadań łatwych nie należy.

K.G.: Matka była i jest osobą najważniejszą w moim życiu. To rozumiałe, że pisanu o niej musiały towarzyszyć emocje. Bardzo mi jej brakuje w sytuacjach, w których nie umiem sobie poradzić. Wtedy usiłuję gdzieś ją odnaleźć, w jakimś pejzażu. Mam również przekonanie, że ona się pojawiła, kiedy pracowałam nad wyborem wierszy o Natalii. Ten tom się nazywa *Serwus, Madonna*. Uświadomiłam sobie, że nie ma w historii polskiej poezji miłosnej jednej kobiety, dla której poeta przez wszystkie lata wspólnego związku, pisałby wiersze. Z tego faktu wynikały wszystkie następne. Cała moja książka jest narracją o tym, co w Natalii było tak niezwykłego, że poeta poświęcił jej ogromną część swojego wielkiego talentu. Ale jednocześnie wiem, że bez Natalii, którą Konstanty Ildefons ciągle zapraszał do fruwania w tych rewirach księżycowo-srebrzystych – a ona chodziła twardo po ziemi wtedy, kiedy trzeba było – że bez niej też wielu innych wierszy by nie było, a jego trwające czterdzieści osiem lat życie trwałoby jeszcze krócej.

E.Z.: Życie Natalii było skupione na osobie męża i książka *Srebrna Natalia* jest także książką i o Gałczyńskim.

K.G.: Mam wobec nich obojga ogromny dług do spłacenia, z którego się pewnie nigdy nie wyplączę. Ten dług to bardzo szczęśliwe dzieciństwo i młodość, w czasach bardzo trudnych: wojny, okupacji, wczesnych lat pięćdziesiątych. Rosłam w domu, w którym zawsze była tylko jedna prawda, ta do powtórzenia w każdej sytuacji. I dzisiaj wiem, że wszystko, co we mnie jest dobre, mam po nich, a wszystko, co jest złe, a tego jest dużo, przywędrowało od jakichś takich pań, które latają na miotłach i pojawiają się w życiu każdego.

E.Z.: A jaki był dom Gałczyńskich? Srebrny, zielony?



K.G.: On był i srebrny, i zielony, i normalny. Ale zawsze był domem zaczarowanym, dlatego że taki był mój ojciec, który kochał teatralizację życia wokół siebie. Pamiętam, i zresztą opisuję to, historię zającą. Był rok 1952. Ojciec wypatrzył na jednej z uliczek dochodzących do parterowej Marszałkowskiej pracownię, w której działał wypychacz małych zwierzątek. Zafascynował go zając stojący na dwóch łapach na tej pseudo-wystawie... Zając w pomyśle Gałczyńskiego wziął się prosto z jego domu, domu kolejarza i pani kolejarzowej. Stał w korytarzu, przy drzwiach wejściowych, i różnił się od tego zająca, którego ja pamiętam tym, że w przednich łapach trzymał tacę. Ta taca była potrzebna na bilety wizytowe, a jak wiadomo, kolejarza i panią kolejarzową odwiedzali wyłącznie ludzie, którzy mieli bilety wizytowe. A dwaj chłopcy, Konstanty oraz Mieczysław, jego młodszy brat, nie znosili tego zająca. Wydłubali mu oczy, wyskubali mu sierść, w końcu zamiast zająca stał potwór, którego matka, moja babka, Wanda Cecylia, wyrzuciła na śmietnik. Potrzeba odkupienia winy za zniszczenie zająca odezwała się po latach. Pojawił się w domu nowy zając. Okazało się jednak, że wypychacz niezbyt się przyłożył do swojego dzieła, bowiem w brzuchu tego zająca załęgły się mole. Moja mama oświadczyła, że trzeba zająca z domu usunąć i powiedziała mi: „Zabierz tego zająca do pracowni biologicznej do szkoły”. Tak zrobiłam. I rozpętało się piekło. Bo dwie baby wyprowadziły cudownego, ukochanego zająca z domu. Tłumaczyłam, że koleżanki w szkole nigdy nie widziały, jak wygląda prawdziwy zając, a teraz wszyscy już wiedzą. A moja mama powiedziała: „Wiesz, tutaj odbywa się na Bielanach jakiś odpust, pojedziemy i coś zamiast tego zająca kupimy”. No i kupili cudownego gipsowego psa.

E.Z.: „Zając od Gałczyńskiego” – oczywiście w szkole wszyscy wiedzieli, kim jest Gałczyński i czyją jest Pani córką. Koleżanki przysyłały swoje próby poetyckie Mistrzowi?

K.G.: Tak, w pewnym wieku każdy przechodzi przez chorobę pisania wierszy. Przechodziłam przez nią i ja, na szczęście była krótka i minęła. Moje koleżanki były wytrwalsze ode mnie. Byłam posłańcem, który kursował między nimi a moim ojcem. Znosiłam mu te kajety z wierszami i mówiłam: „Masz, tu Deotyma”, albo „Nowa Manusia Konopnicka”. Mówił: „Dlaczego kpisz, czytałaś?”. „Nie, ty będziesz czytał”. I potem pisał: „Szanowna panno Marysiu...”. Po wielu latach przypomniałam sobie, że tych listów było dość dużo i miałam nadzieję, że może gdzieś się zachowały. Niestety razem z kajetami powędrowały do śmietnika. A jak przygotowywałam tom korespondencji

Gałczyńskiego, to znalazłam list od nastoletniego wówczas Romana Śliwonika. I z tego listu wynika, że przysłał ojcu swoje próby poetyckie i prosił o rozmowę, ale nie wiem, czy ta rozmowa się odbyła. Pokazałam list nadawcy, on się zachwycił, ale zapytał, gdzie są wiersze? Niestety wierszy nie znalazłam, co Roman Śliwonik skomentował: „Pewnie były okropne i Gałczyński je wyrzucił”.

Wspominałam, że również sama przez tę chorobę przesłam. Pisałam dużo i z ogromną łatwością. Kiedyś zostawiłam taki jeden z zeszytów gdzieś na widoku. A u nas był taki zwyczaj, że popołudniami myśmy się zbierali w pokoju ojca i czytał nam to, co napisał rano, a jeśli niczego nie napisał, to brał którąkolwiek ze swoich książek i czytał. I któregoś popołudnia zapowiedział czytanie wierszy specjalnych. Usiedliśmy tylko we trójkę i tak słucham – jakby coś znajomego, ale nic nie mówię. Zobaczyłam tylko, jak mamie „słozы” płyną po policzkach... Ale nic, żadnego uśmiechu nie ma... I w pewnej chwili byłam już przekonana, że wiem, co czyta – i byłam oburzona.

Minęło wiele lat. W Warszawie odbywały się spotkania, prezentujące dokonania twórcze różnych miast. Przyjechał z Krakowa prof. Kazimierz Wyka i poeta Tadeusz Nowak. Po spotkaniu profesorowi Wyce powiedziałam: „Panie profesorze, pan na pewno nie wie, ale był pan jednym z bohaterów moich wierszy”. A on: „A powiedz mi, moje dziecko, jak to szło”. Ja: „Pamiętam tylko dwuwiersz pana dotyczący: A profesor Wyka agrafki łyka”. I zobaczyłam dokładnie taką samą reakcję, jak u mojej matki. Powiedział też: „Dziecko, przypomnij sobie, co tam jeszcze było, bo to rzeczywiście perły mogą być”. Pracując nad wspomnianym tomem korespondencji ojca, w jednym z jego listów znalazłam stroniczkę z moimi dwuwierszami. I tam je zacytowałam.

E.Z.: Talentu poetyckiego nie dziedziczy się. A czy Gałczyński znalazł kontynuatorów?

K.G.: Nie. On nie wiadomo skąd się wziął w polskiej poezji. Bo parantele jest bardzo trudno wysnuć. Myślę, że naśladowców miał przynajmniej kilku, natomiast kontynuatorów nie miał. Naśladować łatwiej, ale kontynuować jakąś magię jest niezmiernie trudno, wręcz niemożliwe, i w przypadku Gałczyńskiego tak się stało.

Spotkanie z czytelnikami odbyło się 2 grudnia 2006 r. w Olsztynie.

Rozmowę wyemitowano na antenie Radia Olsztyn 11 grudnia 2006 r.

Haiku*

w przekładach
Kazimierza Brakonieckiego

Powrót

Dlaczego jednak powrócić
na tę opuszczoną wyspę?
Kwiaty bagienne w wietrze.

Orkady

Sztorm zaraz nadejdzie,
świat zostanie rozsypany –
czarne krzyki kormorana.

W pociągu

Zajęty światem lodu,
kiedy moi towarzysze podróży
rozwprawiają o korporacji.

Żadnej opowieści

Trzy miasta,
które chciałyby tyle ci opowiedzieć –
wystarczy mi mój śmiech.

Nadchodzę

Las w lutym:
trzask moich kroków
na zamrzniętych liściach.

Wizyta

Niezwykły gość
w pustym pokoju –
deszcz.

Kenneth White

Granica

Sosny tańczą
w lodowatym wietrze –
na północy nicości.

Alter ego

Tego poranka
nad wodami Sumidy –
samotna mewa.

Hakuin

Stary człowiek
słuchający śniegu,
gdzieś w Shinoda.

Morze Japońskie

Schodzenie z góry
pusty umysł –
pomruk fal.

Postój

Zupełnie sam
ze starym krukiem
na nieznanym terytorium.

Catou

Na szronie w ogródku
ślady kota,
który poszedł do lasu.

Listopad

Na dachu teraz tylko
samotna sroka,
która patrzy na mgłę.

*Przekład z języków francuskiego i angielskiego za zgodą Autora.
Podstawa przekładu: Kenneth White: L'Ermitage des brumes.
Occident, Orient et au-delà. Éditions DERVY, Paris 2005.

Bobbie B. Barlow

MASKI

„Co za bal!

Maskarada na sto par – co za bal.

W taką noc, odrzuć twarz,

I stań się maską!

Co za bal!

Tyle masek, tyle barw – co za bal!

Cały świat musi twarz zastąpić własną”.

(fragm. libretta z musicalu *Upiór w operze*)

Zadzwonił budzik. Ola powoli, jeszcze w sennym rozmarzeniu wyciągnęła rękę w jego stronę. Jeszcze bez pośpiechu szukała wyłącznika. Znalazła. Budzik zamilkł.

Wzięła spokojny wdech i nieco apatycznie usiadła na brzegu swojego wielkiego łóża. Zapaliła lampkę i wysunęła szufladę nocnej szafki. Na jej dnie leżała maska. Bez chwili wahania czy refleksji założyła ją na twarz.

I zaczęło się. Biegiem do ubikacji. Potem kuchnia – grzanki do opiekacza i kawa do ekspresu. Pstryk, pstryk – włączone. Jeszcze tylko szybko wyjąć jogurt z lodówki, by nie był zbyt zimny, jak ostatnio. Teraz biegiem do łazienki. Szybki prysznic. Do kuchni – grzanki na talerzu, a kawa w kubku. W łazience codzienny makijaż. W kuchni śniadanie. Potem mycie zębów... Mycie naczyń...

Wychodząc z domu, jeszcze w korytarzu zmieniła maskę na tę, co leżała przy kluczykach do samochodu.

Za kierownicą, niczym pilot kamikadze, rzucała pioruny przekleństw na lewo i prawo, na kierowców i przechodniów, na światła i skrzyżowania.

Gdy pod pracą gwałtownie zahamowała, maska spadła jej na kolana. Leniwie włożyła ją do schowka na rękawiczki i lekkim krokiem ruszyła do biura. W drodze nie widziała kłaniających się jej głów. Szła niby poza światem, poza miejscem i czasem do chwili, gdy siadła za swoim biurkiem.

Wysunęła szufladę. W środku były dwie maski. Obu nie lubiła, ale tej po lewej bardziej. Założyła tę z prawej i rzuciła się w wir pracy. Akta i dokumenty, przyjmowanie zgłoszeń i rozdzielanie obowiązków, szukanie zasobów i sprawdzanie przepisów. Do czasu...

Wybiło południe – czas wizyty u szefa.

Wróciła do swojego biura i zmieniła maskę. Od razu poczuła się przygnębiona i winna. Poczłapała, niczym pies z podkulonym ogonem, do swojego oprawcy.

Beata Kołakowska, *Namowa z cyklu Maski, sucha igła + karborund, 2010/2011*



- W szóstym tomie, na stronie tysiąc sto dwunastej nie postawiła pani swojej parafki! – grzmiał wrogo.

Skrucha wymalowana na masce po raz kolejny uratowała jej skórę.

Wracając do swojego biura, szła niczym wystraszony cień, ale gdy tylko zmieniła maskę, wróciła do pracy pełna werwy i wigoru.

Po pracy schowała maskę do szuflady. Była zmęczona, ale i szczęśliwa.

W samochodzie przywdziała maskę kierowcy i znowu na ulicach miasta pojawił się pirat-samobójca.

W drodze do domu zajęła się do marketu. Przed wejściem zdjęła maskę, by móc bez presji smużyć się między regałami. I znowu czuła się poza światem.

Nagle, z naprzeciwką, zaczął nadciągać jej Apollo – o kruczonych włosach i czarnych oczach, z orlim nosem i zniewalającym uśmiechem. I pomimo szczyrby między górnymi jedynekami, która według Oli była jego seksowną niedoskonałością, był dla niej bogiem młodości i piękna.

W pośpiechu sięgnęła do swojej torebki, chcąc przywdziać maskę seksapilu, flirtu i kokieterii, ale nim zdążyła ją znaleźć między szminką a puderniczką, przeszedł obok, nie zauważając jej.

Zakaśla. Może z podniecenia, a może ze zmęczenia. Kaszła. Kaszła długo, aż z ust zaczęła lecieć krew.

Ktoś wezwał karetkę, ale nim pojawiła się pomoc, Ola przywdziała już inną maskę.

Kraków, 03.12.2011 r.

Scenariusz dla dwojga dramat w jednym akcie

MOTTO:

Będąc we dwoje i sami, najbardziej odczuwamy pełnię wszystkiego.

Andrzej Bobkowski

OSOBY:

Jola

Przemek

Mieszkanie Joli, która siedzi przy biurku i wpatruje się w ekran komputera. Czyta w skupieniu, co jakiś czas stukając w klawisze, by coś dopisać. Rozlega się dzwonek – Jola wstaje, podchodzi do drzwi.

Jola: - Kto tam?

Przemek: - (z za drzwi) To ja, Przemek! Otwórz!

Jola otwiera drzwi, Przemek wchodzi.

Jola: - (podejrzliwie) Co cię sprowadza?

Przemek: - Nic takiego. To taka przyjacielska wizyta.

Jola: - Nie gadaj bzdur. (zamyka drzwi) Przychodzisz do mnie tylko wtedy, kiedy masz coś do załatwienia.

Przemek: - Tak naprawdę... To ja mam pewną sprawę.

Jola: - Kiedyś przyniosłeś mi „rewelacyjne” zlecenie na przekład literacki. Miałam z tego dużo pracy, a niewiele zarobku. (kategorycznie) Siadaj i mów, o co chodzi. (siada na kanapie, wskazując Przemkowi krzesło)

Przemek: - Pewnie, że powiem. (podchodzi do stołu, przysuwa sobie krzesło, siada) Byłem u producenta. Tego z tą śmieszna łysiną, znasz go... (Jola potakuje) Pogadaliśmy.

Jola: - (z ironią) Miło było?

Przemek: - Zależy komu. (nerwowo drapie się po głowie) Nie znoszę go. Myśli, że pozjadał wszystkie rozumy, że wszystko wie najlepiej: jak pisać, co pisać, kiedy pisać, o czym pisać. To może niech sam pisze scenariusze do swoich filmów?

Jola: - Nie mów mu tego, bo naprawdę sam napisze. A wtedy nic nie zarobisz...

Przemek: - Ciebie też to dotyczy. Kazał mi napisać nowy scenariusz. Razem z tobą.

Jola: - Żartujesz? Już pisaliśmy razem, pamiętasz...

Przemek: - Oczywiście.

Jola: - Wyszło fatalnie.

Przemek: - To samo mu powiedziałem. Ale on mimo tego uparł się, że musimy pisać razem. Powiedział, że scenariusz ma zawierać w sobie dwa spojrzenia: męskie i kobiece.

Jola: - Niech zgadnę: ty masz być tym męskim spojrzeniem na fabułę? (śmieje się) Już współczuję widzom tego filmu.

Przemek: - Oboje mamy się zjawić u niego jutro o dziesiątej.

Jola: - Po co?

Przemek: - Żeby przedstawić nasz pomysł na scenariusz, jakiś wstępny zarys. Jeżeli ten pomysł mu się spodoba, to od razu podpiszemy umowę.

Jola: - Co on sobie myśli? Że może o takich sprawach decydować za mnie? Nawet mnie nie zapytał! Sam sobie pisz, sam do niego idź!

Przemek: - Jeżeli sam pójdę, to w ogóle nie będzie ze mną rozmawiał, wyrzuci mnie za drzwi. Tak powiedział.

Jola: - Więc przyszedłeś tylko po to, żeby mnie namówić na wspólne pisanie?

Przemek: - Jeżeli nie chcesz, twoja sprawa. Nie zamierzam cię zmuszać. Przyszedłem tylko zapytać.

Jola: - A jeśli odmówię?

Przemek: - (żartobliwie) Musisz mi ulec. Za bardzo mnie lubisz.

Jola: - Wcale cię nie lubię. Nasza znajomość ma zimny, zawodowy charakter. Parą nigdy nie byliśmy.

Przemek: - Ale marzysz o tym, żebyśmy byli. (odchrząkuje) Nie tylko tobie się podobam. Ogólnie biorąc, kobiety na mnie lecą.

Jola: - Od kiedy? Jakoś nie zauważyłam...

Przemek: - A choćby ostatnio, w tramwaju. Motorniczy ostro przyhamował i wtedy jakaś baba dosłownie na mnie runęła. Wgniotła mnie w siedzenie!

Jola: - Jeżeli to miał być żart, to słaby. Ale jeśli pomysł na fragment nowego scenariusza, to może być.

Przemek: - Tak! To fragment scenariusza, napisany przez życie.

Jola odgarnia dłonią włosy, a potem sięga po leżący na ławie notatnik.

Jola: - Zgoda, napiszę z tobą. Czego się nie robi dla pieniędzy? Jaki to będzie film?

Przemek: - Komedia romantyczna. Morze miłości, w którym utoną widzowie... Fabuła ma spełniać wymogi gatunku, ale jednocześnie być oryginalna, nietypowa i trochę zwariowana. Taka na luzie. Cała reszta zależy od nas: czas i miejsce akcji, główni bohaterowie i tak dalej.

Jola: - Tyle twórczej swobody, no, no... Co za gest. (bawi się trzymanym w dłoni długopisem) Zacznijmy od głównych postaci, od naszego miłostnego duetu. Myślałeś już o tym?

Przemek: - Tak. On – naukowiec, pasjonat, szalony wynalazca.

Jola: - Szalony? Za mocne. Roztargniony, nieobecny duchem...

Przemek: - W każdym razie zaabsorbowany swoimi badaniami.

Jola: - Nikomu niepotrzebnymi. Przedmiot badań musi być absurdalny, ale jednocześnie nieszkodliwy.

Przemek: - Właśnie. (po chwili) Mam pomysł. Marzeniem tego naukowca jest wyprodukowanie... wódki w proszku.

Jola: - Chory jesteś? Wódka w proszku?

Przemek: - To byłoby coś w stylu oranżady w proszku: wysypujesz do

szklanki, mieszasz z wodą... *(robi gest, przypominający picie ze szklanki)* I od razu jest impreza!

Jola: - To ma być ta jego pasja? Do napoju z procentami? Nie brzmi wiarygodnie. On musi widzieć coś szczególnego, coś magicznego w tych nudnych badaniach, eksperymentach...

Przemek: - *(wstaje, podchodzi do Joli, wykonując teatralne gesty)* On czuje radość z powodu trzymancia w dłoniach próbówki, której zawartość właśnie zmieniła kolor. Widzi perspektywę wstąpienia na naukowy piedestał chwały. Wydaje z siebie złowieszczy śmiech na myśl o tym, że innym uczonym nie udało się osiągnąć tego, co jemu... Wystarczy?

Jola: - *(rozbawiona)* Złowieszczy śmiech? To nie ma być tani horror...

Przemek: - Nasz naukowiec wyobraża już sobie w snach pomnik postawiony mu przez wdzięcznych rodaków: jego posąg stoi na cokole, dumnym gestem trzymając przed sobą puszkę alkoholowego koncentratu... *(przyjmuje pozę z pomnika)*

Jola: - *(śmieje się)* Amant z puszką w dłoni... Uważasz, że w kimś takim mogłaby się zakochać jakakolwiek kobieta?

Przemek: - Dzisiejsza kobieta to może nie. Ale gdyby akcja filmu działa się w przeszłości, na przykład gdzieś koło roku 1900?

Jola: - Bo ja wiem? Melodramat świetnie pasuje do tamtych czasów: te stroje, wykwintne maniere... I oczywiście muzyka z epoki! Skoro tak, to miejscem akcji powinien być Nowy Jork albo Paryż.

Przemek: - Nie przesadzasz? Może lepiej pozostać we współczesności. I umieścić akcję gdzieś na Mazowszu. *(siada na swoim poprzednim miejscu)*

Jola: - Scenariusz ma być oryginalny i zwariowany, prawda? A współczesność to ludzie mają za oknem i chcą się od niej choć na chwilę oderwać. Szczegóły rozstrzygniemy później. Teraz zapiszę tylko, że bohater filmu to nawiedzony ale poczciwy wynalazca z *belle époque*, pochłonięty bez reszty swoimi eksperymentami. *(notuje)*

Przemek: - I nie zauważający kochającej go kobiety, będącej tuż obok.

Jola: - Tuż obok? Co to właściwie znaczy? Kim by ona była? Asystentką, trzymającą próbówkę podczas doświadczeń? *(rozbawiona)* A on dopiero po latach zauważa, że próbówkę trzyma człowiek, a nie statyw. Co za dramat!

Przemek: - Masz rację, to głupie. Więc niech to będzie miłość od pierwszego wejrzenia, niczym twoja miłość do mnie.

Jola: - Masz dziwny zwyczaj wspomniania o mnie w tych zdaniach, w których mówisz o sobie. Skończ z tym.

Przemek: - *(recytuje z udawanym patosem)* Uczucie uderzyło jak grom i rozszczępiło jej jaźń na dwoje... *(z triumfem)* Zapisz to zdanie, dobre jest!

Jola: - Dobre? Do czego? Do sztambucha dziewiętnastowiecznej pensjonarki?

Przemek: - Do opisanie uczuć naszej bohaterki. Niech ona będzie... dziennikarką, która zjawia się w pracowni uczonego, żeby przeprowadzić z nim wywiad.

Jola: - Dziennikarka? W tamtych czasach? Były wtedy kobiety-dziennikarki?

Przemek: - W Nowym Jorku pewnie były. Ale masz rację, dziennikarka



odpada – niech ona lepiej będzie pisarką, która odwiedza go, żeby znaleźć inspirację do napisania nowej powieści.

Jola: - Zgoda. Przy czym jej pisanie to właściwie fanaberia, kaprys – ona nie żyje z tego, bo i tak jest bogata.

Przemek: - Arystokratka?

Jola: - Aż tak nie podbijamy romantycznego bębenka. Pozostawmy to w nieodmówieniu, w domyśle...

Przemek: - Mamy więc parę lekkoduchów, którzy bawią się życiem i robią wyłącznie to, co chcą. Trochę to oderwane od rzeczywistości.

Jola: - Widzowie też chcieliby tak żyć, dlatego chętnie to obejrzą. *(notuje)*

Przemek: - Ona początkowo uważa go za dziwaka...

Jola: - I ma rację.

Przemek: - On jej nie znosi, ale potem rodzi się między nimi uczucie, dojrzewa... I tak dalej, do szczęśliwego finału.

Jola: - Co będzie tym finałem? Małżeństwo?

Przemek: - Oczywiście. I toast weselny, wzniesiony wódką w proszku. A na torcie obowiązkowo stać musi miniaturowy tego pomnika, który przyśnił się wynalazcy. Z tym, że nie on sam, lecz oboje wspólnie trzymają puszkę z koncentratem. To mogłoby być ostatnie ujęcie filmu.

Jola: - Nie ma to jak mocny akcent na zakończeniu... *(odkłada notatnik. Podchodzi do Przemka, prowokacyjnie zbliża swoją twarz do jego*

twarzy) W każdym razie wątek romansowy powinien być silniej zarysowany. A scena finałowa musi dawać perspektywę ich dalszej, wspólnej przyszłości... *(obejmuje go)*

Przemek: - *(nieco speszony)* Ale jakiej?

Jola: - Właśnie! (gładzi go po policzku) Ona porzuci pisanie i przyłączy się do jego badań? A może on zrezygnuje z badań i zacznie pisać?

Przemek: - Ona... porzuci.

Jola: - *(poważnie, odsuwa się od Przemka)* Dlaczego zawsze kobieta ma się poświęcać w imię miłości? To mi się nie podoba.

Przemek: - W takim razie niech lepiej oboje zerwą z dotychczasowym życiem i pojedą w podróż poślubną dookoła świata. Za pieniądze, które przyniósł im koncentrat.

Jola: - *(wraca na swoje miejsce, siada, sięga po notatnik, zapisuje coś)* Nasi bohaterowie są zbyt sztuczni, komiksowi. Trzeba ich uczłowieczyć. Dodajmy im jeszcze trochę wad, słabostek...

Przemek: - Niech on będzie chorobliwie nieśmiały i ma jakiś uraz psychiczny, dotyczący kontaktów z kobietami...

Jola: - No! Wreszcie jakiś temat, w którym czujesz się jak ryba w wodzie.

Przemek: - A ona niech będzie oziębła i snobistyczna, wychowana w konwenansach.

Jola: - Założmy, że tak... Dopiero dzięki miłości nawzajem ulecą swoje urazy i otworzą serca dla uczuć. Dzięki czemu będą żyli długo i szczęśliwie...

Przemek: - *(po namyśle)* Zanim dojdzie do szczęśliwego finału, muszą się pojawić po drodze rozmaite komplikacje i przeszkody. Romantyzm rodzi się z bólu.

Jola: - Co ty możesz o tym wiedzieć? Romantyk się znalazł... Ale z tymi przeszkodami to prawda. Co proponujesz?

Przemek: - Wypadek, choroba, kradzież, napad, zdrada... Trzeba coś wybrać.

Jola: - Bierzemy wszystko. *(wylicza na palcach)* On ma wypadek, o co w laboratorium nie jest trudno. Na dokładkę inny naukowiec, jego konkurent w walce o nagrodę Nobla, wysła człowieka, który napada naszego uczonego i kradnie mu tajną recepturę. A ona... Ona zapada na jakąś rzadką, egzotyczną chorobę, czym on się bardzo przejmuje. A kiedy ona w końcu wyzdrowieje, to go zdradzi.

Przemek: - Proponuję odwrotną kolejność: ona najpierw go zdradzi, a dopiero potem – w efekcie tej zdrady – zachoruje. Na syfilis. To by nawet miało wydźwięk moralny.

Jola: - Jak cię trzepnę, to przestaniesz się wydurniać! *(notuje)*

Przemek: - Jak to wszystko razem wygłąda?

Jola: - Znośnie. Łatwo będzie rozpisać to na poszczególne sceny. *(po namyśle)* Trzeba jeszcze wrzucić do filmu coś wesołego: dialogi, sytuacje...

Przemek: - Wiadomo.

Jola: - Ale pamiętaj, że to nie może być grube, przerysowane. A twoje ulubione gagi takie są. Z ciepłego, lirycznego klimatu nic nie zostanie.

Przemek: - Przesadzasz. Umiem połączyć liryzm z humorem.

Jola: - Masz jakąś anegdotę w zanadrzu?

Przemek: - Nie. A ty?

Jola: - *(potakuje)* Nasza bohaterka spotyka na przyjęciu swoją dawną przyjaciółkę, nie widziały się od paru lat. Na jej widok przyjaciółka mówi: „- Ledwo cię poznałam... Zmieniłaś się. Niestety, nie na lepsze”. A ona odpowiada: „- Jeżeli myślisz, że dla ciebie czas był łaskawy, to przejrzyj się w lustrze”.

Przemek: - To takie... Kobięce.

Jola: - A kto ogląda komedie romantyczne?

Przemek: - Fakt.

Jola: - Potrzebny jest jeszcze jakiś mocny akcent: kulminacja, punkt zwrotny akcji... *(z ironią)* Wymyśl coś. To chyba jest ta męska strona filmu.

Przemek: - Dobrze. To znaczy... Muszę ci coś powiedzieć...

Jola: - Co takiego?

Przemek: - Nie ma żadnego scenariusza... Rzeczywiście byłem u tego producenta, ale on nie miał dla mnie – dla nas! – żadnej propozycji.

Jola: - Co takiego? *(zamyka notatnik. Wstaje, groźnie spoglądając na Przemka)* Oszukałeś mnie?

Przemek: - Tak... *(wstaje)* Zmyśliłem to wszystko, żeby mieć pretekst... Żeby cię odwiedzić, pogadać...

Przemek cofa się tyłem, Jola zbliża się do niego.

Jola: - Nie ma scenariusza? Wymyśliłeś to? Ty draniu! *(uderza Przemka otwartą dłoń w twarz)*

Przemek: - Ale ja miałem dobre intencje! Potraktuj to jako żart... *(wciąż cofa się ku drzwiom)*

Jola: - Żart? Nie daruję ci tego! *(potrząsa trzymanym w dłoń notatnikiem)* To po co ja to wszystko pisałam?

Jola rzuca notatnikiem w stronę Przemka, który zręcznie się uchyla.

Przemek: - Zaczekaj, uspokój się! *(podnosi notatnik z podłogi, kartkuje go. Nieruchomieje, zaskoczony)* Czyste kartki... Ty nic nie zanotowałaś! Udawałaś, że piszesz!

Jola: - Wynoś się! *(wypycha Przemka za drzwi, zabierając mu przedtem swój notatnik)*

Przemek: - *(wystawiając głowę zza drzwi)* Skąd wiedziałaś, że nie ma scenariusza? Rozmawiałaś z producentem? Dzwoniłaś?

Jola: - Won mi stąd! *(wypycha głowę Przemka za drzwi, zamyka drzwi na klucz)* Kłamca!

Jola opiera się plecami o drzwi. Na pewien czas zapada cisza.

Przemek: - *(zza drzwi)* Jola, słyszysz mnie? Wiem, że tam jesteś. *(po chwili)* Jutro zadzwonię! Pójdziemy gdzieś razem? Zapraszam cię! *(czeka przez dłuższą chwilę na odpowiedź. Jola milczy, oparta plecami o drzwi)* Przyjmuję, że twoje milczenie jest oznaką zgody. Dzięki! To do jutra!

Słychać oddalające się kroki Przemka. Jola stoi jeszcze przez chwilę, a potem odkłada swój notatnik na ławę. Uśmiecha się sama do siebie. Podchodzi do szafy, otwiera ją. Przesuwa wieszaki z ubraniami, aż w końcu wyciąga jedną z sukienek i podchodzi z nią do lustra. Przykłada sukienkę do ciała, przegląda się.

W tle słychać piosenkę Turn off your light Mister Moon Man w wykonaniu Nory Bayes i Jacka Norwortha.

KURTYNA

Bookriders. Kulturalne jazdy z Warmii i Mazur. Bookriders – skąd ta nazwa? Trochę od bookcrossingu – który nadal nie ma dobrej polskiej nazwy, a najłatwiej mówić opisowo o „uwalnianiu książek”. Trochę od „Easyridera” – tego Daukszewiczowego i tego z Dennisem Hopperem na motorze. No bo – kulturalne oczywiście, ale jednak – jazdy!

Odwiedziliśmy, jeżdżąc tak sobie kulturalnie po regionie, biblioteki w Nidzicy, Ostródzie, Morągu, Lidzbarku Warmińskim, Reszlu, Elblągu i Olsztynie. Bo Bookriders to projekt realizowany przez TVP Olsztyn, a jego partnerem była Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie. To, co miało być obowiązkiem, szybko okazało się przyjemnością.

Okazało się, że dawno już minęły czasy, gdy biblioteki były tylko wypożyczalnią książek. Imponujące jest to, jak niepostrzeżenie – ale zapewne ciężką pracą – przekształciły się w rodzaj domów kultury, ośrodków informacji, edukacji. Rozrywki! Zwłaszcza dla dzieci. Spotkaliśmy ich tam sporo. Dorosłych też. Ludzie chodzą do bibliotek – to odkrycie, dokonane przez Bookridersów.

Każdy odcinek programu Bookriders składał się z kilku modułów. Oczywiście z felietonu bibliotecznego, w którym biblioteki z regionu prezentowały projekty, które realizują dla swoich bywalców – warsztaty fotografii cyfrowej, Dyskusyjne Kluby Książki, kursy bankowości komputerowej dla seniorów, warsztaty dziennikarskie dla młodzieży, zajęcia plastyczne dla przedszkolaków, turnieje warcibowe, cyfrowe archiwa pamięci lokalnej i mnóstwo innych projektów, które wytrwale realizują. Bibliotekarze pomagali nam także w uwalnianiu książek. To kolejny z obowiązkowych felietonów w każdym programie – akcja bookcrossingowa. Wydawnictwa przysyłały nam książki, czasem uwalnialiśmy też prywatnie. I to – zazwyczaj – w czasie rzeczywistym, czyli wtedy, kiedy program miał premierę telewizyjną. Jeśli książki zyskiwały wolność w Olsztynie, uwalniała je niestrudzona Kamila Sadowska. Za chwilę jeszcze o jednym obowiązkowym felietonie w bookridersowym menu, ale *clou* programu stanowiły rozmowy.

Rozmowy. Z Kazimierzem Orłosiem nad Krutynią, na małym drewnianym pomoście. Z łodzi, przepływających obok nas, pozdrowienia od niemieckich turystów. Łabędzie, bijące skrzydłami o wodę, i śmiech. Z Mariuszem Sieniewiczem na wysypanym żwirze dachu Dukatu w Olsztynie – jako pierwsza ekipa filmowa w tym miejscu. Z Waldemarem Kontewiczem w Braniewie, jego rodzinnym mieście, o którym myśli i pisze, mieszkając w Kanadzie. Z Wojciechem Kassem w Praniu, z tym trzecim w tle, czyli Gałczyńskim, od niedawna upomnikowionym. Z Katarzyną Enerlich, targaną wiatrem znad jeziora w mrągowskim amfiteatrze. Z Pawłem Jaszczukiem w upalny dzień na Dworcu Zachodnim, z pociągami w te i we wte. Z Edwardem Cyfusem w jego tajemniczym warmińskim miejscu... Z Tomaszem Białkowskim, Włodzimierzem Kowalewskim, Bernadettą Darską, Krzysztofem Bešką...

I pytanie – jak mówić o książkach w telewizji? Jak pokazywać książki, bo przecież o pokazywanie tu bardziej chodzi niż mówienie. Nie znam dobrej metody. Spróbowaliśmy zrobić to bez oceniania książek, bez oceniania czytających i nie czytających, bez krytyki literackiej i trudnych słów. Wycięliśmy absolutnie biadolenie na temat „stanu czytelnictwa”. Za to afirmatywnie traktowaliśmy czytanie – prezentując je jako przyjemność, jedną z największych życiowych rozkoszy a zarazem rzecz powszechną i bliską każdemu. Dlatego bookridersi robili dużo sond ulicznych – nie tylko na ulicach miast regionu, także na plaży czy festiwalu *reggae* w Ostródzie. Pytaliśmy o najlepsze miejsca do czytania, najwygodniejsze pozycje (do czytania oczywiście), o bohatera książki, którego najbardziej ktoś chciałby spotkać w prawdziwym życiu, co kto ostatnio czytał i co poleca. Tak po prostu. Absolutnie bez protekcjonalizmu czy ośmieszania zwykłych ludzi. Każdy może czytać, co chce, i każde czytanie jest cenne. I już. A ile razy nas te sondy, a właściwie ich uczestnicy, zadziwili! Po raz kolejny okazało się, że nie ocenia się człowieka po wyglądzie, a książki po okładce...

Dofinansowanie – to bardzo ważne słowo. Projekt był dofinansowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Koordynacją projektu zajęli się Grzegorz Pawlak. Docenienie – to też ważne słowo. Program został doceniony, czyli wyróżniony, przez jurorów PIK-u – Przeglądu i Konkursu Regionalnych Oddziałów Telewizji Polskiej.

Ekspert realizującej Bookriders należą się naprawdę słowa uznania. O wizualny kształt programu zadbali operatorzy obrazu – Krzysztof Bębenek, Mariusz Łada i Tomasz Zwoliński, o stronę audio dźwiękowcy – Robert Bernaciak i Wojciech Olkowski. Montażowy sznyt programu zyskał dzięki fantazji Remigiusza Zakrzewskiego. A głosem programu był lektor Janusz Koziół.

Resumując – „Bookriders” to projekt, na który złożyło się 12 odcinków programu realizowanego i emitowanego w 2012 roku przez TVP Olsztyn oraz inne działania: szkolenia dla bibliotekarzy z regionu, intensywną obecność na stronie internetowej TVP Olsztyn oraz Facebooku – a zatem interaktywność.

Stroną facebookową zajmował się Marek Maruszczak. Nie tylko informował społeczność o emisji kolejnych odcinków programu i zamieszczał zdjęcia z planu, ale również zadreślał obfitością literackich ciekawostek, takich jak np. biblioteki znanych ludzi. On to także był bohaterem wspomnianego wcześniej, a nie omówionego jeszcze, felietonu. Pojawiał się zatem w programie zapowiadany przeze mnie „nasz gadzieciarz”, prezentując różne różności związane z techniką i czytelnictwem. Zwrot „pojawiał się” należy tu rozumieć częściowo, ponieważ jego wizualny byt przejawiał się jako obecność w kadrze męskiego przedramienia. Dopiero w ostatnim odcinku „nasz gadzieciarz” odsłonił przyłbicę i pokazał się światu.

I tyle o Bookridersach, choć można by jeszcze długo...

Piotr Parulski

programowanie

dzień wytarł się o noc
i podziękował bo było naprawdę smaczne
to wychodzenie z roli
laluni opalonej promieniami

w telewizji widziałem było bardziej słonecznie
i nie waliło tak po oczach
ludzie łamiący się na pół
i dzielący sobą

bloki wycięte z bloków
kolorowanie ich na nowo
czasami na staro
i zawsze można przetrząść się dalej

krok to środek i ruch/puszcza coś w kroku

puste pudełko na zewnątrz ma znaki
łamiemy prawo chociaż nie ma kości
z krwią też kiepsko
dawcy to również nadawcy
tłoczą w krwiobiegu

czytam siebie z porannych fusów
jak czarno na białym
ciemność i światło
konstytuują nasze spadanie z pięter

dodzwoniłem się dzisiaj
niestety ktoś mi wykręcił numer
sygnał że trzeba iść
trzeba być
wynosić się z nicości

Iwona Bolińska-Walendzik

Widok z okna – etiuda o poranku

4:00

Jest dziewiczo
niebo ma wyjątkowy kolor
szarego bladego błękitu
poza tym nic, ani grama ruchu

4:30

Pierwsze zwiastuny dnia
złociejące sklepienie
ze złotawą musilinową chmurką

5:00

Brzask, pojawili się
różowoskrzydli wysłannicy dnia
w swych porannych akrobacjach

5:30

Niebo ubiera się w chmury,
trwa poranne przymierzanie
rozmiar kolor deseń

6:00

Wszystko gotowe
tylko księżyc
zapomniał się
został pod moim oknem

Bożena Kraczkowska

Moje miejsce – czas

Człowiek zajmuje wyłącznie swoje miejsce.

A ile jest tego miejsca?

Tyle, ile potrzeba... na stanie, leżenie, siedzenie. Jakieś 80 cm na 200, tyle co łóżko, co trumna, krzesło. Tyle ma miejsca w ławce, obok drugiego człowieka, w kawiarni, na scenie, w piwnicy, w kosmosie.

A kiedy człowiek umiera, jego miejsce nadal jest zajęte.

Zajęte nadal przez niego samego.

Nikt w to miejsce nie wejdzie, nikt tego miejsca nie zajmie.

Nigdy.

Dlatego Ty masz swoje miejsce, a ja mam swoje miejsce.

Od urodzenia do zawsze.

Tym miejscem jest nasz czas.

A czasu zająć nie można.

Przejście

Wschody i zachody, mroki i świty.

Ludzie przychodzą i odchodzą.

I tylko twarze są coraz starsze, zwiotczałe.

Aż staną się uśpione na koniec.

Wolność

Przeklinasz mnie, czy kochasz?

W jakim języku to robisz?

Bo we mnie rośnie, jak góra,

rozkosz

i mnie zdobi...

Jan Leszek Rogalski

Mów do mnie

Mów do mnie

Cichym dzwonem serca,

Świecą z płomiennymi ustami

I okiem złączonym źrenicami.

Mów do mnie

Słowem z miękką czułością,

Jak wdziękiem niezapominajki

Zroszonej barwą wieczoru,

Jak uśmiechem księżycy

Uśpionego nieboskłonu,

Brzaskiem ciszą zaspanym,

Zefirkiem falującym

I pąkiem herbacianej,

Zapachem z wysokiego tronu.

Mów do mnie

Puszkiem ust napuszonych,

Czerwienią zmoczonych,

By spulchnione wargi

Orbitę języka czytały.

Mów do mnie

Słowem bez słowa,

Zwierciadłem duszy.

Eugeniusz Geno Małkowski

Miało być powszechnie i tłumnie

Pomysł zorganizowania wielkiej wystawy zrodził się po obejrzeniu wnętrza jednego z budynków Koszar Dragonów. Oczywiście mój pomysł zrealizowania wystawy tej jest konsekwencją wielu wcześniejszych organizowanych przeze mnie wielkich wystaw w warszawskiej Zachęcie czy w innych miastach Polski oraz we Francji – w dużych galeriach i muzeach. Ta wystawa w Olsztynie jednak miała być próbą poruszenia całego miasta poprzez zaproszenie do uczestniczenia w wystawie wszystkich mieszkańców Warmii i Mazur. Zamierzenie utopijne, bo praktycznie nie miałem żadnych możliwości, aby każdy dowiedział się, że może wziąć udział w niezwyklej wystawie. Skazany więc byłem na to, że odpowie niewielka grupa tych, którzy będą chcieli zmanifestować własną twórczością swoją gotowość poparcia tworzenia Dzielnicy Sztuki. Tak też się stało w budynku przy ul. Gietkowskiej 9a, gdzie pięćdziesięciu trzech autorów pokazało blisko 200 prac. W amfiladzie czterech ogromnych sal wystawione prace w wielu miejscach pięły się na wysokość sześciu metrów. Większość obrazów zwieszonych z sufitu nie zakrywało zabrudzonych ścian, często z jakimiś elementami graffiti, pozostałościami nieformalnych amatorskich akcji. Brudne ściany i te kiczowate mazanice nie przeszkodziły w klarownej ekspozycji zgromadzonych obiektów. Całość robiła znakomite wrażenie. Tłumny wernisaż był okazją do podziwiania nie tylko wystawionych dzieł, ale też niezwyklego wnętrza. Prawie wszyscy czuli się w obowiązku wyrażać opinię, że to wnętrze jest niezwykle, ale należy je pobielić, założyć pozrywane oświetlenie, doprowadzić ciepło, ogrzewanie i toalety. Wtedy będzie to niezwykle profesjonalne miejsce wystawowe. Mimo braku tych wszystkich elementów, w nie dającym się długo wytrzymać zimnie, przy szybko zapadających ciemnościach niewielki zespół zrealizował wystawę, jakiej do tej pory nie było w Olsztynie – a i trudno, by znaleźć poruszającą podobne problemy w Polsce. Przede wszystkim pokaz ten był manifestacją wielopokoleniową. Do wzięcia udziału w wystawie zaproszeni zostali wszyscy, którzy realizują lub przygotowują na ten pokaz obiekt artystyczny dużego formatu (minimum 2 m a maksimum do 6 m). Każdy mógł dostarczyć dowolną ilość prac. Do ekspozycji kwalifikowały się wszystkie obiekty poruszające problemy współczesnego człowieka. Gdyby zgłoszeń było tyle, że nie można by wszystkiego wyeksponować, to planowano, że komisja złożona z inicjatorów wybierze najciekawsze eksponaty do pokazania. Pozostałe miały być odebrane przed otwarciem pokazu, a te, które nie zostałyby odebrane, miały być publicznie spalone. Niestety nie udało się zrealizować tej koncepcji, ponieważ informacje o organizacji wystawy nie dotarły do wszystkich. Ta ilość prac, która napłynęła, spowodowała, że nie było potrzeby ostrej kwalifikacji. Poprzez odpowiednie zaaranżowanie każda praca znalazła właściwe miejsce w odpowiednich zestawach i salach, gdzie

poszczególne obiekty stały się ważnymi elementami w ekspozycji. Dostarczone prace poruszały problem kondycji ludzkiej. W większości dzieł pokazywany był człowiek, istota skomplikowana, której problemy życiowe powodują, że czuje się zgubiona i zmarginalizowana. W pierwszej sali, niejako otwierając i zamykając całą wystawę, wysoko nad drzwiami wyeksponowany został tryptyk (trzy ogromne kolorowe fotografie) dokumentujący malarza Hieronima Skurpskiego, którego widz ogląda w ciepłych, prawie nierealnych wnętrzach prowadzonego salami hospicjum. Na ścianie po prawej stronie od wejścia zawisa duża praca przedstawiająca schody. W kontekście całej wystawy obraz wiele sugerujący! Obok wyeksponowana została praca malarsko-rzeźbiarska. Element rzeźbiarski to głowa kapusty ustawiona w pewnej odległości od białej płachty z eksplozją barw z przewagą czerwieni. Szary, zimowy, pozbawiony żywej istoty pejzaż miejski został dopowiedziany prawie komiksowym zestawem przedstawiającym codzienne życie kobiety. Ogromny portret malarsko-rzeźbiarski fascynował wszystkich tym, że w zależności od tego, gdzie się stało, widziało się albo twarz autora albo jego rodziców (po jednej stronie twarz matki a po drugiej ojca). Tę szczególną realizację skonstruowaną w niezwykle zmyślny sposób dopełniały w tle dwa prawie czarno-białe, jeden nad drugim, pejzaże innego autorstwa. Jakies wklejone gazety robiące za wodę, jakieś budynki, mosty. Widoki odjazdowe i mroczne w swoim wyrazie. Obok wyeksponowane zostały dwie ekspresyjne, krzyczące głowy, tworzące jeden duży w ciemnej tonacji obraz, nakazujący widzowi zatrzymać się i zadumać nad bólem, które przedstawia to wyobrażenie. Stając przed kolejnym eksponatem, miało się wrażenie, że ogląda się fragmenty ogrodu: jakąś roślinność, pojawiające się balustrady. Batikowe, lekkie rozwiązanie o charakterze prawie secesyjnym. Na wprost, po prawej stronie, kolejna wielka płaszczyzna. W całym bogactwie rozlanej farby dopatrzeć się można było serca. Ogromny, poziomy czarny obraz ukazujący panoramę wielkiego miasta, zajmujący cały środek nad drzwiami do kolejnej sali, wisiał wysoko przy suficie tego precyzyjnie przemyślanego układu. Koronował on tę salę, w której po drugiej stronie równie dobrze prezentowały się kolejne obiekty. Duże zainteresowanie wzbudzała drewniana instalacja na środku tej pierwszej części ekspozycji. Te surowe, niekiedy wydrążone pniaki różnej wielkości przez swoją zwyyczajność i prostotę, jakkolwiek ułożone, pobudzały wyobraźnię i pozwalały interpretować konstrukcje, rozwijając wyobraźnię patrzącego. Oglądając kolejne obiekty, widz z pewnością zatrzymałby się przed dwuczęściowym obrazem o charakterze abstrakcyjnym, gdzie dopatrzeć się można sylwetki człowieka w gąszczu swobodnych form kierujących w stronę szerokiej interpretacji tego, co chciał wyrazić autor. Na poliptyku przedstawione zostało ponad sto stojących nagich



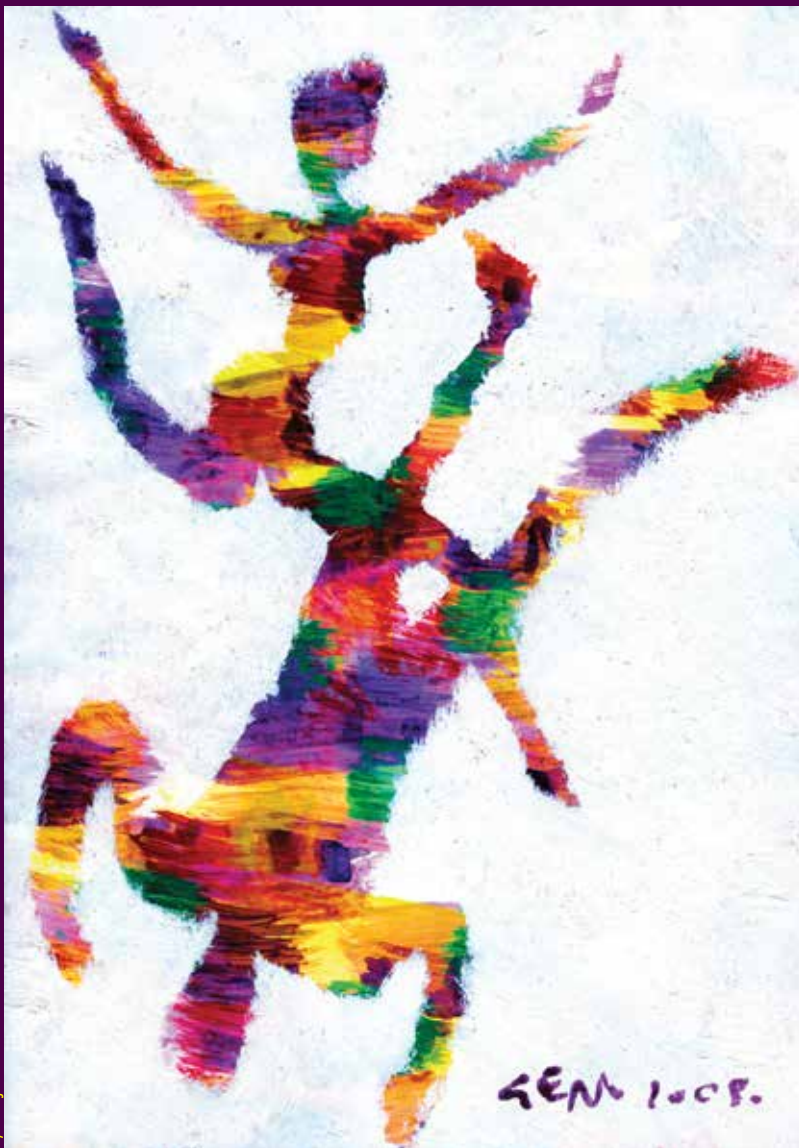
kobiet pokrytych reklamami wielkich sklepów. Niebieski kolor tła dobrze ujawniał urodę oraz treści, które zazwyczaj umieszcza się na prospektach reklamowych. Tu jako tatuaże pokrywały ciała kobiet z informacją „kupuj taniej”. Obok tego mocno niebieskiego figuralnego tworzącego pionową całość poliptyku zawisł obraz poziomy z przewagą barw żółtych i czerwonych, jakby inkrustowany szlachetnymi kamieniami. Kontrastował on z – od sufitu do podłogi eksponowaną – czarno-białą fotografią, fascynującą seksualnością przedstawienia i tajemniczą odważnego spojrzenia. Ta huśtawka kontrastujących obiektów, wyraźnie została wyakcentowana w spotkaniu z rozwinięciem tematu ostatniej wieczery, gdzie na czerwonym tle stół i porzucone głowy kierowały myśli ku sprawom ostatecznym, aby obok w układzie pnącym się wysoko afirmować w wielu kadrach pięknego malarstwa blond urodę. Czarno-biały duży poziomy ołówkowy rysunek pozwalał podziwiać maestrię jego wykonania. Nieskończona ilość detali tworzyła monumentalny rozmiarem i zamierzeniem pejzaż miejski kontrastujący z wcześniej wspomnianym malarskim swobodnym obrazem. Ta zasada kontrastujących spotkań poszczególnych obiektów uwidaczniała się w całej ekspozycji wystawy „Kryzys i Format”, i mimo że w kolejnej sali dominował jeden autor, który sam swobodnie zawieszał swoje obiekty, to wpisał się on dobrze w charakter ekspozycji. Jego dosyć niezwykle formatowo wielkie akty przedstawiające leżącą kobietę, zatrzymywały widzów skonsternowanych swobodą modelki. W tej sali wisił wysoko ponad wszystkimi innym obiektami obraz konstruktywistyczno-symboliczny malowany z myślą o losie koszar. Stał się on niejako charakterystycznym znakiem wystawy i rodzącej się dzielnicy. W tej sali wyraziście i w sposób frapujący prezentowały się jeszcze inne niezwykle obrazy. W trzeciej sali ogromne obiekty (ni to obrazy, ni to tkaniny) pokrywały przestrzeń od podłogi do sufitu. To one podpowiedziały dalszy sposób kontynuowania aranżacji. Interesująco się prezentowała na ich tle frapująca rzeźba monstrualnego manekina stworzonego ze starych telewizorów, komputerów i innych elementów wysokiej technologii. Gdyby obiektów o tym charakterze było więcej, długo pamiętalibyśmy ten pokaz. Większa ilość tych figur mogłaby być w przyszłości pokazywana z sukcesem w galeriach na całym świecie. Poprzez zawieszenie między oknami po drugiej stronie ogromnych czarno-białych o niespotykanym charakterze prac, a między nimi w przestrzeni teatryku,

opowiadającego o zwierzączkach, figurkach z włóczki, pełnych humoru stworzonkach, sala nabrała baśniowego wyrazu tym bardziej, że przed piętrzącym się zielonym obrazem wszystkich rozśmieszał ogromny lemur ze stojącym ogonem. Całość robiła wrażenie niezapomniane. Między salami również pojawiły się niezwykle i zastanawiające obiekty, tworząc zjawiskową przestrzeń. W ostatniej sali zostały wyeksponowane obrazy malowane w 2007 roku na ulicach i placach Olsztyna. To *panneau* składające się z pięciu części malowało 30 tysięcy ludzi. Po drugiej stronie tej sali zapalone świece tworzyły wnętrza pełne magii, ciemności i estetycznego świątokradztwa. Obrazy i przedmioty powodowały pełen tajemnicy klimat jakichś obrzędów sakralnych. Zamykał wystawę obiekt, który w czterech abstrakcyjnych płaszczyznach miał wpisane cztery litery „stop”. Wracając, można było po raz drugi zobaczyć te wszystkie prace, które dla oglądającego powinny też stać się teatrem opowiadającym różnymi technikami o naszej codzienności tu i teraz. Wystawa mogłaby być ogromna, gdyby szeroką informacją można było trafić do wielu uśpionych Olsztynian. Niestety udało się tylko zaprezentować pokaz, który sygnalizuje potencjalne możliwości prezentacji współczesnej sztuki Warmii i Mazur, a jednak wielu po obejrzeniu ekspozycji twierdziło, że tego się nie spodziewali, aby w Olsztynie mogła zaistnieć ekspozycja autorów miejscowych na najwyższym światowym poziomie.

W wystawie udział wzięli: Barbara Barańska, Marek Barański, Iwona Bolińska-Walendzik, Tadeusz Brzeski, Karolina Chlewińska, Adam Cieślak, Kamila Dąbrowska, Wojciech Dzieszkiwicz, Monika Drząszcz, Rafał Głazewski, Urszula Głabińska, Eugeniusz Geno Małkowski, Martyna Grzeszczak, Sylwia Hliwiadczyń, Edyta Hul, Magdalena Jabłońska, Patrycja Janta-Lipińska, Julia Januszewicz, Wioletta Jaskólska, Ada Jędrych, Dorota Kęstowicz, Maciej Koczara, Wojciech Kołakowski, Sandra Kołodziejska, Mateusz Kozieradzki, Patrycja Kruk, Venessa Kurmin, Ewa Letki, Anna Łukacz, Elżbieta Matuszczak, Rafał Aleksander Mikułowski, Jolanta Niedziela-Chudzik, Ewa Niewolska, Łukasz Obrębski, Rafał Pluciński, Lucyna Płoska, 30 tys. przechodniów Olsztyna, Dorota Puchajda, Janusz Puchajda, Magdalena Rogowska, Elżbieta Redelbach, Sonia Solarz-Taciak, Adam Strzelecki, Sławomir Sagan, Urszula Szuwezdza, Piotr Taciak, Romana Triebing, Agata Tobolewska, Agata Wiwczarek, Renata Zimmnicka-Prabucka, Marta Żużewicz, Mariola Żylińska-Jestadt.

Eugeniusz Geno Małkowski

Eugeniusz Geno Małkowski, prof. UWM – artysta malarz, autor artykułów o sztuce w wielu periodykach, wielokrotnie udzielał wywiadów dla TV, radia i gazet. Organizator szeregu grup artystycznych, m.in. „O poprawę”, założyciel stowarzyszeń: „SOS” i „ARA” (we Francji). Pomysłodawca i realizator nowego typu organizacji wystaw i ekspozycji w galeriach i muzeach (piętrzenie obiektów w pionach), aranżer, m.in. w warszawskiej Zachęcie (3000 prac).



Życie jest kolorowe



Tańcząca



Hurra

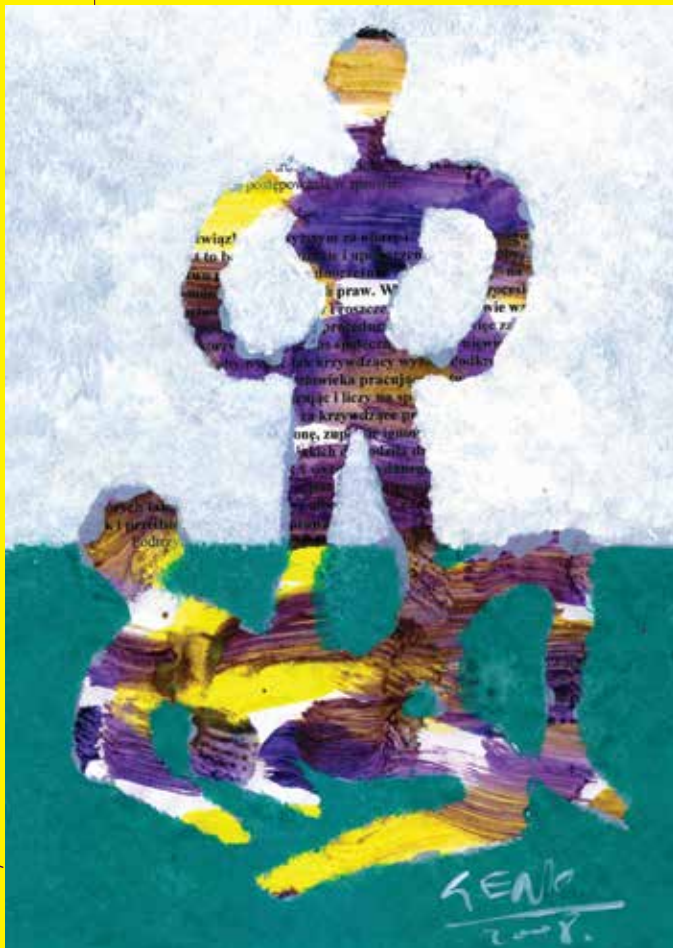
Tak odpczywam



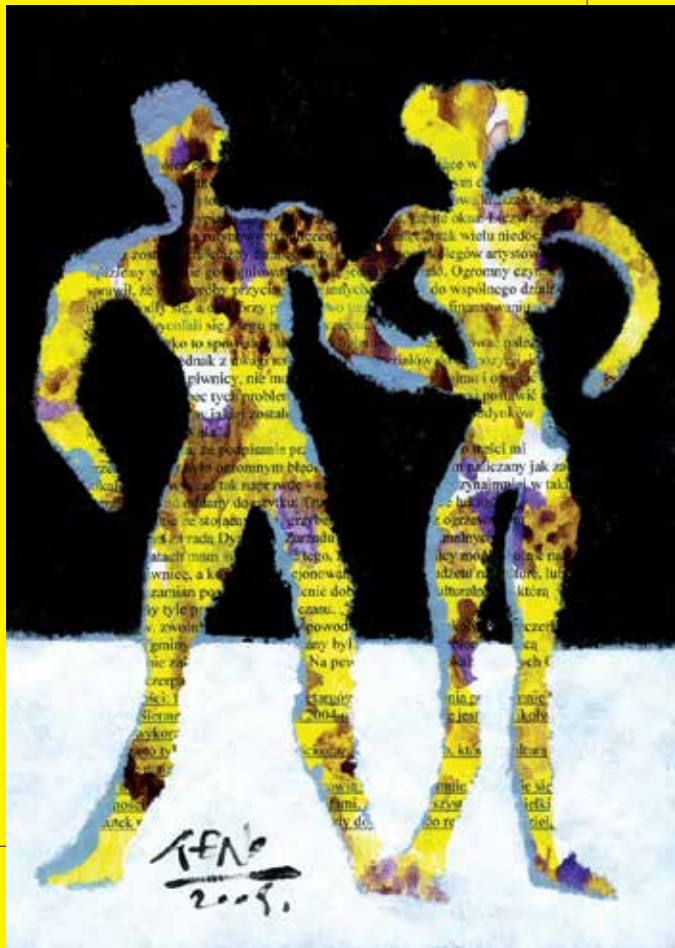
Nie widzę



Pokonany



Razem



Anna Rau

Biel drugiego brzegu

Na początek pytanie godne filozofa: na czym tak naprawdę upływa nam życie? Czy na biegu od punktu A do punktu B mapą wyznaczoną naszymi potrzebami lub pragnieniami? Czy na miotaniu się pod bezładnym kierownictwem przypadku? Czy może na statecznym kroczeniu w rytm batuty Niewidzialnego Oka Opatrzności? Może. Trudno powiedzieć. Jedynym co, niewątpliwie można potwierdzić, jest fakt, iż życie to bezustanne i bardziej lub mniej ukradkowe spoglądanie na Drugi Brzeg. Odkąd tylko nasza świadomość zarejestruje pewność kresu, zaczyna się w nas to trochę straszne-trochę zaczepne zerkanie przez zmrużone powieki ku Innemu. Innemu niż Ten Znany Osojony Brzeg, gdzie się mówi językami ziemi, ziemią samą, materią i... śmiercią. Pierwsze spojrzenie na Drugi Brzeg, czyli pierwszy powolny krok do przejścia ku niemu, trudno zauważyć – czas i uwagę zajmują nam tzw. codzienność, dorastanie, rzeczy ulotne, tak cenne, tak nieważne. Jednak w końcu, chyłkiem, niezauważalnie zaczyna się... – i na cichych miękkich stopkach najpierw umykają ku niemu zaangażowanie, potem przyzwyczajenia i nawyki, następnie kolejne wspomnienia i wreszcie na końcu cała pamięć. Rzeczywistość zaczyna się nam chwiać i uginać, rozchylać się, rozsypywać, jak mąka, jak piasek. Zostaje biel...

Biel... – tak, debiutancki tomik *Drugi Brzeg* Dariusza Szymanowskiego, wysublimowanie skromny objętościowo, przywodzi na myśl biel. Zadziwiające jest pewne wrażenie nieodparcie pojawiające się podczas lektury kolejnych wierszy. Tyle w nich rozplywających się myśli, uchylających się świadomości chwil oraz delikatnych jak puch unoszących się powietrzu pod byle podmuchem-rozproszeniem wrażeń, iż w czytelniku powstaje przekonanie, że śledzi zapiski starego człowieka. Że takim głosem – rwącym się szeptem – mówi starość, której wszystko to, co znane, stało się zasypaną kolejnymi warstwami śniegu i nienaruszoną śladem życia połacią puchu. Gdy byt przeistoczył się w nieskończoną zadymkę i zostało już tylko czekanie na dobrnięcie do Drugiego Brzegu.

Brzeg jest granicą, zmianą, innością, zaskoczeniem. „Drugi brzeg” to ten, na którym właśnie teraz nas nie ma. To „ten naprzeciw”: nieznan, kuszący, złowrogi, czasem utęskniony – gdzie wreszcie spokój. To takie dziwne, trochę nieludzkie – że tak wiele w wierszach Szymanowskiego odchodzenia, zapominania, straty, opuszczenia, śmierci, a nie ma tam głośnego lamentu, okrzyków bólu, a nawet westchnienia rozpaczy, nie widać też rozdzieranego w ostatnim uchwycie dłoni materiału, nie ma kurczowego, pragnącego pokrzepienia uścisku palców. Wszystko jest takie ciche. Jest spokój. Nieuchronność daje spokój. Pozostają opuszczone przedmioty, koronkowe, powoli rozsypujące się w swojej ostatecznej niepotrzebności i bezcelowości

z dala od rąk, które je dotykały. I to one – zaledwie one – tworzą słynny odwieczny triumf śmierci. W ujęciu Szymanowskiego nie jest to więc głośny, złośliwy, ostentacyjny w podskokach i grzechocie szyderczy taniec kości. Jego *Triumf śmierci* Bruegla to łagodny śpiew apostołów połączony z chórem harmonijnych dźwięków płynących od strony potępionych przy wtórze skrzypienia i szelestu porzuconych, rozpadających się rzeczy... Męka została pozostawiona właśnie tym opuszczonym przedmiotom – jako że nie ma gorszej kary od pozostania, gdy coś ważnego odeszło na Drugi Brzeg...

W *Drugim Brzegu* poeta dał czytelnikowi również możliwość przekroczenia progu dojrzałej refleksji i zaproponował niejako zabawę, inicjując pewną podwójną grę: formalną i semantyczną. Drugim brzegiem pierwszej części książki – pełnej wierszy – uczynił bowiem osobny moduł z prozą poetycką, która ukazała jednocześnie całkowicie odmienną perspektywę obserwacji kresu, zacierania się, poszukiwania, przemijania i bieli. I tak jak w wierszach Szymanowski sięga do różnych kontekstów, dzieł, fraz, wątków i motywów z historii kultury europejskiej, tak w drugiej – ukazuje zagranicę... Dalekiego Wschodu. Pokazuje kontekstualny świat Chin – gdzie armie tworzą tygrysy, lamparty, jaguary i niedźwiedzie, a nawet ryby. Gdzie podbija się świat i wolę bogów siłą, nieprzejednaniem, bezwzględnością. Gdzie piękne skośnookie kobiety trzymają końcami palców tkackie czółenka. Gdzie Żółty Cesarz osłania twarz wachlarzem przeszłości. Gdzie Cesarzowa Leizu wpatruje się nieruchomym wzrokiem w widoczny za szybą komnaty nieodgadniony pysk Wielkiego Węża. Żółty Cesarz i Leizu to postacie mityczne: ona jest wspominana jako wynalazczyni jedwabiu, on zaś jako panujący w połowie trzeciego tysiąclecia przed naszą erą nad ziemiami Dalekiego Wschodu protoplasta Chińczyków – wybitny wojownik, wynalazca, m.in. pisma, mędzec oraz jeden z głównych patronów taoizmu. Przemierzany przez czytelnika szlakiem toczy się pożądana przez Cesarza czarna perła, obok snuje się srebrną strużką nić rzucona ręką pięknej Cesarzowej. Mądrość? Pamięć? Samo życie? Biel. Znów widzimy wymykanie się i znikanie – cienia, serca, pamięci i przedmiotów... Bezradny płacz władcy wśród białych płatków. Och, więc to jednak nie jest Drugi Brzeg, skoro znowu śnieg tak samo bezgłośnie i nieuchronnie zasypuje miłość, okrucieństwo, brak, pustkę, tęsknotę i pragnienia. Jak nazwać to miejsce? Tyle jest brzegów w naszej codzienności, ba – w całym naszym istnieniu: brzeg morza, filiżanki, talerza, kontynentu, kraju, zbioru, kartki, powieki, stołu... Metaforyczne brzegi określają granice ciała, funkcjonują w matematyce, w sztuce, w geografii i w słowach. Jednak – mimo tego – stojąc w środku wiersza jako czarna kropka na białej połaci, łapiemy w puste ręce tylko pytania bez odpowiedzi: „czym jestem”, „dokąd

idę”, „co zostało”. Wokół biała zadymka zasłania wszystko – ręce, zarysy, ubranie... znikamy. Nie ma nas. Gdzie jesteśmy, skoro jesteśmy, a jednak nas nie ma? Niczym w bajce można znaczyć drogę, rzucając krwistoczerwone kuleczki ostrokrzewu, lecz to czynność bezsensowna wobec powodzi białych płatków. Wszystko na próżno. Bliscy, pamiątki, liczby, chwile osuwają się ze skarpy pamięci i przesuują w kole niczym figury w szopce – wyciągamy ręce, a tu już obrót. Znikanie i biel. Eleganckie, precyzyjne, bezbolesne przejście na Drugi Brzeg.

A może jest coś jeszcze? Wtedy odnalezienie Drugiego Brzegu stanowi znalezienie Innego Siebie – tego nieświadomionego, niejasnego, niemożliwego dotąd do ogarnięcia. Ach, skupić się na tej pocieszającej myśli jak na jedynej pozostałej, więc dlatego jasnej i doskonałej, perle: że Drugi Brzeg to znowu „ja”, a „nieobecność jest niczym wielkim”. Wszystko powstało „na chwilę, bez zaproszenia” i jako cały ten zgiełk – życie, przemijanie, przetrwanie oraz kolejne słowa, o które przez całe życie trzeba było kruszyć kopie – jest jak „złość o rozbity wazon”. Nieważne. Biel.

Jak zniwelować cierpienie czekania? Jak doptynąć swobodnie do Drugiego Brzegu, przeskoczyć te paradoksalnie śmiertelnie twarde fale, zamknąć oczy i już się tam znaleźć w naturalny – bliski spokojnie gubiącym liście jesienią drzewom – sposób? I co tam będzie? Część poetycka ukazuje obraz średniowiecznego nieba, który pełni funkcję łacińskiej konstrukcji gramatycznej *Futurum exactum indicativi*, wyrażającej czynność przyszłą – uprzednią w stosunku do innej przyszłej czynności. To tłumaczy zaskakujący w niebie Szymanowskiego brak Boga. „Niebo” więc to kolejny brzeg, a potem... Na Drugim Brzegu Dalekiego Wschodu kres stanowi uniesienie ducha (duszy?) na podobieństwo lotu stada ptaków. Znow – ku czemu? *Futurum exactum indicativi*. Kończący wszystko wielki znak zapytania pozostawia tylko ciszę. W końcu milczenie to wspólna granica, do której dochodzi mistyka i funkcjonalizm – cienki brzeg styku metafizyki i konkretności. To dobry koniec. „Kiedy nastanie ten brzeg, z którego widzieć będziemy?” – motto zaczerpnięte z poezji Czesława Miłosza otwiera, lecz może też sumować tomik Dariusza Szymanowskiego, wskazując ponadto, jak – mimo wszystko – daleko leży cel, ku któremu próbujemy sięgać wzrokiem. Przez biel, za życie, poza czas, w światło, w „jasność, która przychodzi jak zwykle ostatnia, zamykając drzwi od środka”.

Dariusz Szymanowski, Drugi brzeg, Olsztyn, Wojewódzka Biblioteka Publiczna, 2012.

Iza Koszewska, Pejzaż, akwatinta, 2012



Iza Koszewska, Pejzaż, akwatinta, 2012



Muzyczna rodzina Jarmołowiczów

Nazwisko Jarmołowicz jest znane nie tylko w olsztyńskich kręgach muzycznych, ale również w całej Polsce, a nawet poza granicami kraju. Senior rodu – Włodzimierz Jarmołowicz jest Honorowym Obywatelom Olsztyna, wybitnym popularyzatorem folkloru, organizatorem i animatorem życia kulturalnego. Założył i prowadził wiele zespołów, pracował jako dyrygent, aranżer, recenzent, dziennikarz radiowy. Najstarszy z synów Państwa Jarmołowiczów, Bohdan, jest dyrektorem artystycznym i dyrygentem Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica w Słupsku. Sławomir Jarmołowicz gra w Filharmonii Poznańskiej i prowadzi klasę skrzypiec w Szkole Muzycznej w Poznaniu, a najmłodszy z braci – Włodzimierz był kierownikiem muzycznym w Teatrze Lalek w Olsztynie i skomponował wiele utworów muzycznych do sztuk teatralnych.

Sylwia Białecka: Kto zapoczątkował tradycje muzyczne w Państwa rodzinie?

Danuta Jarmołowicz: Wiem, że mama męża uczyła swoich synów śpiewać i musiała mieć wykształcenie muzyczne, bo nauczyła ich jakiegoś utworu religijnego na głosy, który potem wykonywali w cerkwi.

Włodzimierz Jarmołowicz: Tak, te tradycje muzyczne pochodziły pewnie ze strony rodziny matki i sięgały kilku pokoleń. Ojciec mój był lekarzem i nie był uzdolniony muzycznie. Natomiast mój dziadek, jak przypomniała mi niedawno żona, komponował muzykę cerkiewną.

S.B.: Czy zawsze wiedział Pan, że chce zostać muzykiem? O ile wiem, studiował Pan prawo...

W.J.: Tak, na KUL-u, ale po kilku semestrach zrezygnowałem, bo przekonałem się, że mój kierunek jest całkiem inny. Chociaż te kilka egzaminów bardzo dobrze zdałem, doszedłem do wniosku, że to muzyka jest zawodem dla mnie. Przyjechałem do Olsztyna i tu skończyłem szkołę muzyczną – Wydział Instruktorski.

S.B.: Czym zajmował się Pan po przyjeździe do Olsztyna?

D.J.: Przede wszystkim śpiewem – prowadzeniem zespołów i przygotowaniem aranżacji dla kwartetu. Nie jest to łatwa sztuka, ale mąż jest w niej bardzo biegły.

S.B.: Skąd zdolności w tym kierunku?

W.J.: Przed wojną istniały takie dwa zespoły wokalne: Chór Dana i Chór Czeja – kwartety męskie. Byłem zafascynowany ich programem, ich aranżacjami i stąd u mnie te umiejętności skoncentrowały się na wiadomościach, jakie wyniosłem, słuchając tych zespołów. Niezależnie od późniejszej nauki u fachowców o zasadach aranżacji, prowadzenia melodii, prowadzenia głosów, to właśnie z muzyki tych zespołów wyniosłem wiadomości, że tak powiem, dźwiękowo-akordowe, jak należy to robić.

D.J.: To właśnie odziedziczył najstarszy syn. Myślę, że Danek ma po Tobie te zdolności, bo on przygotowuje aranżacje i na orkiestrę, i na inne zespoły.

W.J.: Natomiast do komponowania szczególnie talent miał nasz najmłodszy syn. Zresztą jedną z jego piosenek, *Kotysankę warmińską*, śpiewa mój chór Moderato. To kompozycja do słów wiersza Marii Zientary-Malewskiej – moim zdaniem bardzo udana.

D.J.: Poza tym pisał muzykę również dla teatru lalek – w Kielcach, Rzeszowie, Słupsku.

S.B.: Prowadził Pan zespoły, przygotowywał aranżacje, był Pan kierownikiem muzycznym w teatrze, pracował jako dziennikarz radiowy. Które z tych licznych zajęć było Panu najbliższe?

W.J.: Szczególnie w latach początkowych najbliższym mi zajęciem była praca z chórem Jara, którym kierowałem, dla którego tworzyłem aranżacje i w którym również śpiewałem. Był to zespół reprezentujący naprawdę wysoki poziom – po roku pracy uzyskaliśmy uprawnienia zawodowe – a poza tym cieszył się dużą sympatią publiczności i w tym czasie szczególnie dużo serca wkładałem właśnie w tę pracę.

D.J.: Ale tych zespołów było znacznie więcej – najpierw chór Jara, potem zespół Olsztyn, Warmia, Moderato.

W.J.: Zgadza się. Prowadziłem też chór radiowy. O wysokim poziomie tego zespołu świadczy fakt, że połowę naszych nagrań przyjęła taśmotka w Warszawie jako nagrania archiwalne. Olsztyn, Moderato... – w ogóle dużo tego wszystkiego. Ale jeszcze przed Moderato pracowałem z takim męskim zespołem Retro i z żeńskim trio wokalnym. A teraz prowadzę Moderato i już za dwa lata zespół będzie świętował 30-lecie istnienia.

S.B.: Myślę, że duży wpływ na rozwój talentu Państwa synów miał właśnie Pan i obecność muzyki w Państwa domu.

W.J.: Na pewno jakiś wpływ ja na to miałem.

D.J.: Zaczęło się od najstarszego syna – jego pierwszego posłałiśmy do szkoły muzycznej, choć na początku w ogóle nie zamierzaliśmy. Poszedł do szkoły podstawowej, ale do muzycznej nie, bo jako dziecko bardzo nam chorował i uważaliśmy, że to dla niego będzie zbyt duże obciążenie. Trochę uczył się muzyki prywatnie, ale mało ćwiczył, trzeba go było najpierw wdrożyć do szkoły podstawowej. Jednak mąż zauważył wtedy, że syn ma słuch absolutny. Kiedyś Danek bawił się na podłodze, mąż siedział przy pianinie i uderzył w jakiś klawisz, a syn powiedział, jaki to dźwięk. Mąż był bardzo zaskoczony, zaczął go sprawdzać, a on wszystkie te dźwięki, nie patrząc na instrument, rozpoznawał. Ale jego muzyczne zdolności dawały się zauważyć nawet wcześniej – syn miał może trzy, może trzy i pół roku. Mąż zaczął wtedy pracować w Teatrze Lalek, komponował różne piosenki i ulubiona zabawa Danka – bo tak jak już powiedziałam, on był taki chorowity i przez to trochę kapryśny – to siedzenie na kolanach ojca i słuchanie tych piosenek. Syn wszystkie te piosenki znał, pamiętał, rozpoznawał, ale wystarczyło, że mąż jeden dźwięk w akompaniamencie, nie



w melodii, zagrał inny, to Danek mówił: wiem, ale nie powiem. Nawet raz u męża był akompaniator z Chóru Jara i był bardzo zaskoczony, że taki mały chłopiec ma tak dobry słuch i dobrą pamięć. Ale i pozostali synowie byli bardzo zdolni. Najmłodszy po ukończeniu kierunku muzycznego w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie postanowił studiować na Akademii Muzycznej w Gdańsku i przyjęli go od razu na czwarty rok, tak dobrze zdał egzamin.

S.B.: A czy synowie próbowali swoich sił w innych dziedzinach?

D.J.: Kiedy średni syn zdał maturę w liceum, ale jeszcze musiał skończyć szkołę muzyczną, poszedł za namową kolegi na kurs przygotowawczy na politechnikę. Ja mu nawet trochę to odradzałam – bo kiedyś bardziej się ceniło muzyków i uważałam, że to piękny zawód – ale mąż mówił: niech próbuje, żeby potem nie miał pretensji. Ale Sławuś jednak z politechniki zrezygnował, chociaż z matematyki i fizyki był zdolny – chyba ze wszystkich trzech najzdolniejszy – zaraz kupił sobie struny, nuty... Nawet go niedawno pytałam, czy nie lepiej byłoby, gdyby skończył na przykład stomatologię (on jest taki dokładny, precyzyjny i właściwie wszystko potrafi), bo teraz jako muzyk tak bardzo dużo musi pracować, i w orkiestrze, i w szkole muzycznej, i jeszcze dodatkowo, a on odpowiada: nigdy w życiu nawet o tym nie pomyślałem. A jeśli chodzi o tego najmłodszego, to on też kiedyś powiedział tak: jak dobrze, że ja się tej muzyki uczyłem, bo nie wiem, co innego mógłbym robić. Szczególnie współpraca z teatrem, komponowanie muzyki – to mu najbardziej odpowiadało. Mówił, że teatr lalek to jego życie.

S.B.: Drugi syn Państwa, Sławomir, jest jednak nie tylko instrumentalistą i nauczycielem, ale również organizatorem konkursów skrzypcowych dla młodych wykonawców, w którym biorą udział również skrzypkowie z zagranicy.

D.J.: W 2013 r. będzie to już dziesiąta, jubileuszowa edycja konkursu. Z tym też jest dużo pracy, bo trzeba pozyskać dotacje i zawsze jest z tym problem. Ale chociaż syn za każdym razem powtarza, że to już ostatni, bo już nie ma siły starać się o dotacje, to jednak

zawsze potem jest kolejny, a teraz nawet jubileuszowy. Już zaczął przygotowania.

S.B.: Jak Państwo organizowali swoje życie, mając trzech muzykujących synów?

D.J.: Mieszkaliśmy na ulicy Curie-Skłodowskiej, a szkoła muzyczna była na Nowowiejskiego, więc było bardzo blisko. W szkole muzycznej było tak, że trzeba było chodzić z dziećmi na lekcje, zwłaszcza w pierwszych latach, u nas to głównie mąż chodził. On też sprawdzał, pomagał w ćwiczeniach.

W.J.: Bardzo dużo obowiązków przejęła też żona, w związku z tym, że ja zajmowałem się muzyką. Inne przestrzenie życia, dzieci szczególnie.

S.B.: A jak wyglądało to w domu? Czy synowie np. wspólnie muzykowali?

D.J.: Wspólnego grania było mało, chyba że czasem mąż im coś wymyślił. Ćwiczyli każdy w swoim wolnym czasie, różnie kończyli zajęcia w szkole. Mieliśmy duże mieszkanie, między pokojami uszczelniałam drzwi, żeby się nie słyszeli, zwłaszcza jak ten średni grał na skrzypcach. Nawet mieliśmy taki zamiar, żeby drugie pianino kupić, co nie znaczy, że aż tak bardzo byli pilni, tylko np. w dni wolne, w niedziele, każdy chciał pierwszy grać, żeby mieć już czas wolny.

S.B. Nie było żadnych takich momentów, że ta ich motywacja słabła?

W.J.: Mnie się wydaje, że w początkowych latach to ja bardzo pilnowałem, żeby ćwiczyli, sprawdzałem, jak te ich ćwiczenia wyglądają, ale potem to już uważali, że to będzie ich zawód i problemów z graniem nie było.

S.B.: A czy Państwa wnuczka kontynuują rodzinne tradycje muzyczne?

D.J. Nie i jest mi trochę smutno z tego powodu. Marek skończył średnią szkołę muzyczną, ale jako muzyk nie pracuje – jest redaktorem radiowym. Jego siostra, Małgosia, też jest uzdolniona (zresztą tak jak i ich mama), uczyła się trochę prywatnie, ale zrezygnowała. Córka najstarszego syna, Kasia, skończyła szkołę muzyczną w klasie fortepianu, potem miała uczyć się rytmiki, ale nie było profesora i też zrezygnowała z dalszej nauki w szkole muzycznej, poszła do liceum z wykładowym językiem angielskim. A Sławka córka, Ewa, była już w średniej szkole muzycznej w klasie skrzypiec, kiedy doszli do wniosku, że w Poznaniu jest bardzo dużo bardzo zdolnych dzieci i będą trudności z pracą. Skończyła językoznawstwo i informatykę naukową, zrobiła doktorat i pracuje na uczelni. A prawnuki są małe, tylko jeden chodzi do pierwszej klasy, dwójka do przedszkola, a dwoje najmłodszych jest w wieku żłobkowym.

S.B.: Dziękuję za rozmowę.

Anita Romulewicz

Skarb w kredensie

Kredens (fr. z wł.) – 1) mebel dwuczęściowy, którego górną część stanowi oszklona szafka z półkami, przeznaczony do przechowywania naczyń stołowych; 2) niegdyś pomieszczenie w pałacach i dworach, najczęściej pomiędzy kuchnią a jadalnią, w którym przechowywano sztucce i zastawę; 3) dawniej określenie srebrnej zastawy stołowej.

Takie oto definicje kredensu można znaleźć w typowych słownikach i encyklopediach. Jak się okazuje, może istnieć jeszcze inny wymiar tego pojęcia. Agnieszka Tyszka, pisarka książek dla młodzieży, w swojej najnowszej powieści pt. *Kredens pod Grunwaldem* staremu i już mocno sfatygowanemu meblowi nadaje nową i niezwykle ważną funkcję – strażnika tajemnic. Przez jednych postrzegany jako „śmierdzący rupieć” i zawalidroga, dla innych jest rodzinną pamiątką, która tyłko pozornie stoi pusta. A cała historia zaczyna się od pożaru.

Po przykrym wypadku w domu babci Bibianny, kruchej staruszki z postępującą chorobą, trafia do mieszkania rodziny państwa Goździckich odratowany mebel. Nieco osmalony, ale w dobrym stanie. Po pewnym czasie wprowadza się również sama winowajczyni zamieszania. Konieczność opieki nad seniorką rodu spada na zapracowane małżeństwo jak kara boża. Nowa sytuacja, w jakiej znajdują się członkowie rodziny, niektórych przerasta, innym zaś daje szansę na poważną zmianę w życiu. Na wysokości zadania stanie jednak nie tyle żaden z dorosłych, ale nastoletnia Kornelia.

Młoda bohaterka to inteligentna i bystra dziewczyna, która jak wiele koleżanek w jej wieku koncentruje się na swoich pasjach i uczuciach. Jest przy tym typową licealistką, przechodzącą całkiem łagodnie okres buntu, zważywszy na nie całkiem łagodne konflikty w domu. Relacje między matką, ojczymem i dzieckiem można nazwać oględnie „koślawymi”, z tendencją do patologicznych. Kornelia nie umie mówić o własnej mamie inaczej jak tylko: „ona”, „ta kobieta”, „pani mecenas”, a w skrajnych emocjach – „wariatka” i „głupia osoba”. Dla ojczyma ma jedynie pogardę. Czytelnik z przykrością obserwuje emocjonalne miotanie się rodzicielki, która choć sama występuje w roli ofiary, uzależnionej od kaprysów „wszechpotężnego” pana i władcy, czyli małżonka, tak samo jak on budzi negatywne uczucia. Oboje pochłonięci sobą i swoją karierą zawodową nie potrafią wyrzeszać z siebie choćby odrobiny ciepła wobec bliskich. Nic dziwnego, że wrażliwa a nawet sentymentalna Kornelia Ignie do ludzi starych. Bohaterka, sama zdziwiona swoim zachowaniem, odkrywa nagle, jak ważna jest dla niej babcia i jak wiele znaczy ona dla całej rodziny.

Agnieszka Tyszka, autorka książki, szczerze i bez przesadnej delikatności porusza temat współczesnego postrzegania osób starszych. Mówi wprost o starości widzianej oczami ludzi młodych.

Sąsiadka babci, pani Gienia, to „klasyk” w tandetnej kwiecistej bluzce przetykanej złotą nitką. Wydaje się Kornelii trochę śmieszna z tym swoim przydomowym ołtarzykiem dla Najświętszej Pani, który z wielkim pietyzmem obudowuje sztucznymi gerberami i lampkami świątecznymi, niezależnie od pory roku i okoliczności. Jednak różnice międzypokoleniowe na poziomie estetyki nie przeszkadzają zupełnie w budowaniu dobrych i ciepłych relacji. Młoda bohaterka, choć jak każdy nastolatek w wolnym czasie najchętniej posiedziałyby przy swoim laptopie, nie odmawia zaproszenia na „ciasteczka i konfiturę do herbatki”. Docenia spokój przy stole i ofiarowaną uwagę. A że neony wokół Maryjki widać na całym osiedlu, cóż – jak mówi Kornelia – „to kwestia przyzwyczajenia”.

Lekcja z tolerancji i wzajemnego szacunku to jeden z atutów tej książki. I nie ogranicza się ona tylko do upodobań typowych dla danego wieku, ale i słabości. Tyszka spokojnie stawia przed młodym czytelnikiem postać babci Bibi – staruszkę z demencją, która dokarmia niewidzialnego kota, kontaktuje się z tajemniczą głową w piekarniku i niewiarygodnie szybko potrafi zniknąć. Jest przy tym najbardziej realną osobą w życiu Kornelii. Chociaż przez swoją chorobę funkcjonuje jakby w równoległym świecie, gdzie czas nie pędzi, a przestrzeń nie ogranicza, to bardzo mocno wpływa na życie całej rodziny Goździckich. I wcale nie dlatego, że wymaga stałej opieki, ale dzięki temu, kim jest. A jest jak ów stary i zakurzony kredens, na który pozornie tylko nie było miejsca w mieszkaniu. Na pierwszy rzut oka wydawał się pusty i smutny, a tak naprawdę w swoich licznych zakamarkach i schowkach skrywał wielkie rzeczy. Przechowywały się w nim bowiem wspomnienia o dzieciństwie i domu dziadków oraz o prababci, która jak kolejne kobiety w rodzinie miała „tę chorobę”. Ten mebel z mnóstwem szufladek, pojemny jak pamięć ludzka, przez lata ochraniał rodzinne „skarby” widoczne jedynie dla tych, którzy zapragną w nim coś znaleźć. Tytułowy kredens to również symboliczna przestrzeń pomiędzy dwoma światami: teraźniejszym i dawnym. W niej wreszcie odnajduje się nasza bohaterka, która sama o sobie mówi, że jest trochę staroświecka. Nie odpowiada jej współczesna forma kontaktowania się z rówieśnikami – powierzchowna i nieczuła. Nie widzi dla siebie miejsca w gronie niiby-przyjaciół. Stopniowo natomiast zaczyna dostrzegać, że emocjonalną lukę wypełnia jej Bibi. To dzięki niej zaczyna mieć prawdziwą rodzinę, a troska o seniorkę i jej pamiątki otwiera dziewczynie oczy na wiele spraw.

Chociaż książka Agnieszki Tyszki jest pozycją godną polecenia, to jednak razi brak konsekwencji w kreowaniu postaci Kornelii. Jej postawy wobec starszych są jak najbardziej poprawne edukacyjnie, natomiast osobowościowo jest ona mało wiarygodna. Jak na dziewczynę

dorastającą w rodzinie wyraźnie dysfunkcyjnej cechuje ją wyjątkowa pewność siebie oraz krytyczny, a momentami bezczelny, stosunek do otoczenia. Siebie uważa za osobę bystrą, ceni przede wszystkim własne zdanie. Innych, z małymi wyjątkami, podsumowuje słowem „głupcy”. Rodzi wątpliwość tak silny charakter bohaterki ukształtowany w domu pod okiem egocentrycznego i zazdrosnego ojczyńca, z ciągłą naganą, bez pochwał. W dodatku pozostającej w chorych relacjach z matką, która nie traktuje córki poważnie, ignoruje jej potrzeby i prawie nigdy nie rozmawia. Kornelia sama przyznaje, że nie spotkała nikogo, kto by w nią wierzył.

Interesująco zapowiadał się też tytułowy motyw Grunwaldu i bitwy z 1410 r. wykorzystany w powieści. Autorka postanowiła uatrakcyjnić fabułę i wpleść w formie scenariusza garść faktów z rodzimej historii okresu średniowiecza. Pomysł jednak nie został w pełni wykorzystany. Stylizowane językowo „wstawki” pouczają o tym, co działo się od czasu mobilizacji wojsk królewskich pod Czerwińskiem. Mamy też kilka ciekawostek, jak te o ulubionych gruszkach Jagiełły. Jednak, wbrew oczekiwaniom, „święta wojna” nie dociera pod osławiony Grunwald, a tytułowy kredens tym bardziej. Przygniata też mocno dydaktyczny charakter scenariusza i zbyt dosłowne wykorzystanie cytatów z Długosza. Czytając książkę, odnosi się ponadto wrażenie pogubionych wątków, ale być może jest to zabieg celowy, by każdy z bohaterów scenariusza „sprzedawał” nam inną historyjkę. Wielce obiecujący wydawał się kredens w roli wehikułu czasu, tymczasem nie wiadzie dlaczego rycerz w średniowiecznej zbroi ukazuje się nam w piekarniku. Wyimaginowany kot za kredensem jest uroczy, ale rycerz w kuchennym AGD – zupełnie niezrozumiały.

Cieszą natomiast rzadko występujące w części współczesnej stylizacje językowe. Tworzą one specyficzny klimat, jak w „scenie” spaceru Kornelii z Żoliborza – zaczęj rudogłowej niewiasty. Wśród rycerzy w różnych fazach okaleczenia pobitewnego (członków bractwa trenujących w parku) poznaje ona Roderyka z Wilanowa – niby rycerza „Herbu Ciacho”, kiedy indziej „Herbu Adidas”.

Kredens pod Grunwaldem to lektura, która nieco rozczarowuje kompozycyjnie, ale i tak jest ważna. To, w jaki sposób autorka porusza temat starości i ludzi starych, ich problemów i miejsca w rodzinie, zasługuje, by sięgnąć po tę książkę. Wielowymiarowość i symbolika relacji międzypokoleniowych ujęta w formę prozaicznego, wydawałoby się, kredensu jest tu wyjątkowo poetycka. Poza tym autorka dyskretnie, między ważnymi słowami „tradycja” i „rodzina”, szepcze młodym czytelnikom do ucha: „Ty też kiedyś będziesz stary”.

Agnieszka Tyszka, *Kredens pod Grunwaldem*, Łódź, Akapit Press, 2012.



Joanna Kaczmarczyk, bez tytułu, akwatinia, 2011



Joanna Kaczmarczyk, bez tytułu, akwatinia, 2011

Krzysztof D. Szatrawski

Kameralnie, rockowo, jazzowo VI Dni Kultury Żydowskiej

Już po raz szósty odbyły się w Olsztynie Dni Kultury Żydowskiej. W programie trwającego siedem dni festiwalu znalazło się trzydzieści wydarzeń adresowanych zarówno do najmłodszych jak i do zupełnie dorosłych olsztynian. Obok szeregu spotkań, wykładów, warsztatów, wystaw, prezentacji, projekcji i dyskusji nie mogło zabraknąć koncertów. Nie powinno to dziwić, gdyż właśnie muzyka wyznacza główny nurt takich imprez, przyciągając najwięcej zainteresowanych. Tak się też składa, że sama idea zorganizowania w Olsztynie tego festiwalu pojawiła się właśnie przy okazji koncertu jazzowego, jaki sześć lat wcześniej odbył się w olsztyńskim kościele ewangelickim. Trzy koncerty – kameralny, rockowy i jazzowy – były również najjaśniejszymi punktami w programie tegorocznego festiwalu.

Tegoroczne koncerty rysowały obraz zdecydowanie przeciwstawny wobec popularnych ujęć kultury żydowskiej, którą często postrzega się wyłącznie w kategoriach klezmerskich bądź religijnych. Pierwszy koncert poświęcony został muzyce kameralnej, głównie dwudziestowiecznej, chociaż z jednym niezwykle ważnym wyjątkiem. Ideą tego wieczoru była prezentacja muzyki nie tyle żydowskiej, co raczej uniwersalnej, a związanej z kulturą żydowską przez tematykę, idiomatyczne nawiązania, zawartość treściową czy choćby rodowód kompozytorów. To samo można było powiedzieć o pozostałych koncertach festiwalu. Pierwszą pozycją było światowe prawykonanie *Recitativo i allegretto grazioso* Grzegorza Fitelberga. Utwór skomponowany w 1918 roku na klarnet i fortepian nigdy nie był wykonywany publicznie. Odnaleziony przez olsztyńskiego klawecistę Andrzeja Bukowskiego jeszcze w tym roku ukaże się na jego najnowszej płycie. Prawykonanie utworu z rękopiśmiennej spuścizny Fitelberga zostało dokonane 27 września w Salach Kopernikowskich przez Andrzeja Bukowskiego z towarzyszeniem pianisty Marcina Kucharzewskiego.

W repertuarze kompozytorów amerykańskich wystąpili gdańscy artyści – klawecista Andrzej Wojciechowski i pianista Sławomir Wilk. Wykonali oni słynne wirtuozowskie *Concerto* Aarona Coplanda w kompozytorskiej wersji na klarnet z fortepianem oraz trzy *Preludia* George'a Gershwina we własnym opracowaniu. Fenomenalna gra klawecisty, zwłaszcza w *Preludiach* Gershwina zbliżająca się skalą ekspresji do jazzu, sprawiła, że po każdym utworze publiczność reagowała coraz bardziej żywiołowo. Ostatnia pozycja wieczoru okazała się przebojem. Dwaj klawecisci Andrzej Wojciechowski i grający na basethornie Bogdan Ocieszak oraz pianista Sławomir Wilk wykonali

dwie kompozycje Felixa Mendelssohna-Bartholdy'ego *Konzertstück f-moll op. 113* i *Konzertstück d-moll op. 114*. Te dwa kameralne cykle koncertowe zagrane z fantazją i doskonałym wyczuciem stylu przypieczętowały sukces koncertu, który był częścią uroczystego wieczoru otwierającego Dni Kultury Żydowskiej. Inaugurujący festiwal pod hasłem „W domu” (בבית) wykład na temat „Dom Jakubowy – dom żydowski” wygłosiła Bella Szwarzman-Czarnota.

Koncert rockowy, który gościł Pub „Sowa”, był imprezą adresowaną do młodzieży. Nie powinno to dziwić, zważywszy styl piosenek zaprezentowanych przez Shachara Gilada i jego zespół. Trzech izraelskich muzyków tworzących zespół to: lider Shachar Gilad, który gra na gitarze i śpiewa, perkusista Johnny Kay oraz basista Orri Dror, który również tworzy własne projekty. Shachar Gilad tworzy muzykę nawiązującą do brzmienia lat dziewięćdziesiątych z delikatnie wkomponowanymi elementami tradycji post-punkowej, a nawet rocka post-industrialnego. Przebojowe piosenki śpiewane po hebrajsku

Małgorzata Olewnik, z cyklu *Odczucia*, akwainta, 2012



i po angielsku, nieskomplikowana, rytmiczna struktura wykonywanej przez trio muzyki i naturalna, szczerza ekspresja zostały docenione przez olsztyńską publiczność, która długo nie chciała się rozstać z muzykami z Izraela. Był to pierwszy koncert Shachara Gilada podczas *tournee* po Polsce i okazał się dobrym początkiem udanej trasy koncertowej, czego efekty można zobaczyć w teledysku pokazującym zmontowane obrazy z wielu koncertów, również koncertu w olsztyńskiej „Sowie”.

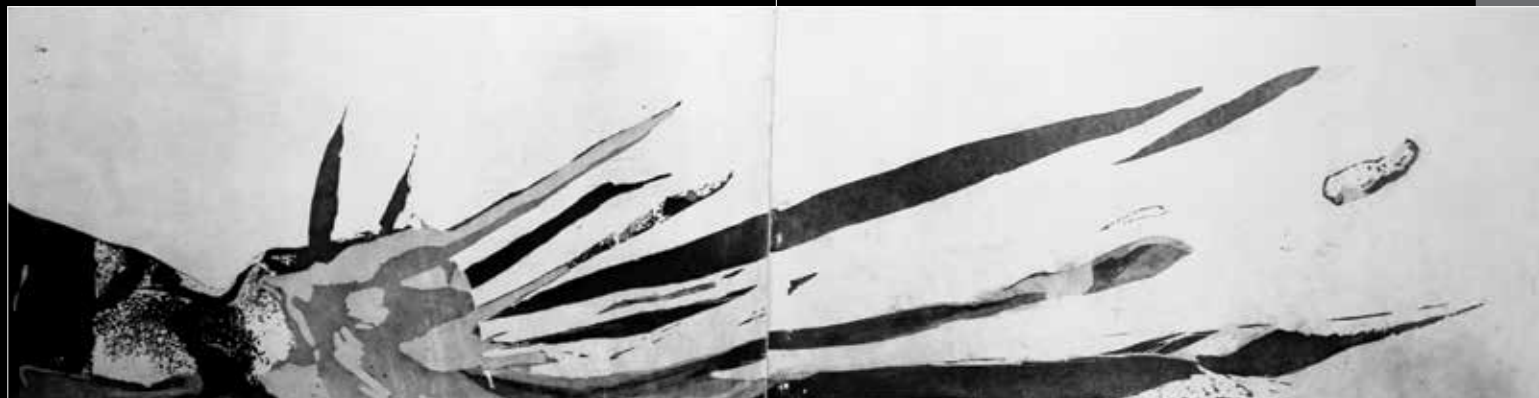
Ostatni wieczór festiwalu, który okazał się sporą niespodzianką nie tylko dla miłośników jazzu, był zarazem ostatnim koncertem trasy koncertowej polsko-izraelsko-amerykańsko-ukraińskiego zespołu P.G.R. Rozwinięciem wdzięcznego skrótu jest nazwa zespołu Projekt Grzegorza Rogali. Jest to zespół pracujący według coraz szerzej stosowanej formuły otwartego składu. W zależności od możliwości w zespole pojawiają się różni muzycy, a styl muzyki jest wypadkową aktualnego składu. Taka kalejdoskopowa zmienność to niewątpliwie sposób na wzbogacenie prezentowanej muzyki, ale także recepta na ciągły rozwój współpracujących przy kolejnych projektach muzyków. W tej edycji P.G.R. tworzyli: izraelska saksofonistka Sagit Zilberman, puzonista Grzegorz Rogala, kontrabasista Wojciech Pulcyn i perkusista Igor Hnydyn.

Aby przybliżyć atmosferę i wszelkie jakości koncertu finałowego Dni Kultury Żydowskiej, należałoby napisać osobny artykuł. Kwartet zagrał znakomicie, w wielu fragmentach doskonale wykorzystując nie sprzyjającą przecież muzyce jazzowej akustykę gotyckiego

refektarza. Sagit Zilberman grająca na saksofonie altowym z precyzją artykulacyjną, doskonałą barwą i z subtelnie dobraną ekspresją, wprowadziła klasycznie jazzowy porządek. Puzonista Grzegorz Rogala był jej przeciwieństwem, bliższy bluesowej żywiołowości i silnej męskiej ekspresji, budował odważne, zdecydowane frazy. Fenomenalny perkusista z Ukrainy, Igor Hnydyn, prowadził własną narrację, opartą nie tylko na strukturach rytmicznych, ale przede wszystkim na bogactwie brzmieniowym i silnych kontrastach. Niezwykle interesujące dialogi z muzykami, a przede wszystkim z saksofonistką, nawiązywał Wojciech Pulcyn, którego kontrabas doskonale wybrzmiewał w zamkowych salach.

Styl muzyczny, kreatywność improwizacji oraz repertuar obejmujący także utwory Johna Zorna pozwalają widzieć w muzyce P.G.R. nawiązanie do ruchu radykalnej kultury żydowskiej. I jest to niewątpliwie ważny element zarówno z punktu widzenia dalszego rozwoju młodych muzyków jak i olsztyńskiej publiczności, która jest już dobrze z tym nurtem zaznajomiona – między innymi dzięki kreatywnym działaniom Arona Bluma. Każdy z tegorocznych koncertów Dni Kultury Żydowskiej stawał się potwierdzeniem, że wartościowa muzyka jest przez olsztyńską publiczność ceniona i życzliwie oczekiwana. Specjalnością a nawet już tradycją olsztyńskiego festiwalu jest promocja kultury muzycznej powiązanej z kulturą żydowską, a jednak prezentującą wartości uniwersalne. I może w takim związku najbliższe jest do osiągnięcia zrozumienia i akceptacji, które są najważniejszym celem każdego festiwalu.

Małgorzata Olewnik, z cyklu *Odczucia*, akwatinta, 2012



Elżbieta Suchowiecka,

Stowarzyszenie Klub Plastyka Amatora „Sąsiedzi”

Kiedy powstało Stowarzyszenie Klub Plastyka Amatora „Sąsiedzi” i co łączy członków klubu?

Stowarzyszenie Klub Plastyka Amatora „Sąsiedzi” działa w Olsztynie od roku 2007. Członków Stowarzyszenia wiąże wspólna pasja twórcza. Ta więź jest wyjątkowo silna, ponieważ trwa już od roku 1979, gdy powstał w Olsztynie przy Miejskim Ośrodku Kultury – Klub Plastyka Amatora „Sąsiedzi”. Stowarzyszenie powstało wiele lat później właśnie na bazie Klubu. Poza pasją wspólnego tworzenia, członków Stowarzyszenia łączą zainteresowania związane ze sztuką i jej różnymi formami, poznawanie ich, doskonalenie i wreszcie prezentowanie własnych możliwości.

Czy emerytura to czas na pasję?

Jednogłośnie członkowie Stowarzyszenia stwierdzają, że czas emerytury to najlepszy okres w życiu na rozwijanie pasji artystycznych, ale chętnie też w swym gronie widzą ludzi młodych, aktywnych zawodowo. Na rozwijanie swych pasji zawsze jest odpowiedni czas, nigdy nie jest za wcześnie i nigdy nie jest za późno.

Czy klub to tylko wyzwania artystyczne, czy coś więcej?

Bycie w Klubie to nie tylko wyzwania artystyczne i własna praca twórcza. To ciągła wymiana poglądów artystycznych i wiedzy w tym zakresie na zebraniach, spotkaniach, wernisażach, kursach i plenerach. To również nawiązywanie nowych znajomości i przyjaźni, owocujących także wymianą doświadczeń życiowych. Członkostwo w Stowarzyszeniu wspaniale zagospodarowuje wolny czas – w sposób interesujący i umożliwiający własny rozwój.

Wiemy, że w artyści ze Stowarzyszenia biorą aktywny udział w wielu inicjatywach, również tych dla młodzieży. Co wynika z konfrontacji pokoleń?

Odkrywanie pasji

Działalność na tym polu sprzyja dobrym kontaktom z młodzieżą, poznaniu i zrozumieniu problemów ją nurtujących. Różnorodne szkolenia i kursy organizowane dla dzieci i młodzieży służą wzajemnej wymianie doświadczeń. Członkowie Stowarzyszenia przekazują własne umiejętności i wiedzę, ale też wiele uczą się od młodzieży: świeżego, pozbawionego rutyny spojrzenia na sztukę. W tej działalności członkowie Klubu mają możliwość zaistnienia w układzie pokoleniowym, a nawet zyskują szansę zaimponowania młodszemu pokoleniu własnymi możliwościami twórczymi i pasjami artystycznymi.

Stowarzyszenie ma na swoim koncie wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych, nagrody i wyróżnienia. Z czego jesteście najbardziej dumni?

Członkowie Stowarzyszenia mają na swoim koncie wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych – w Olsztynie i regionie – wystaw krajowych i zagranicznych. Cieszą się, że mogą prezentować swoje prace na wystawach i przeglądach. Są dumni, że mogą się dzielić swoimi pracami i przy tym są doceniani. Nie lubią się sami chwalić, są chwaleni przez innych, a nagrody i wyróżnienia, które zdobywają w konkursach i przeglądach, dopingują ich do dalszej pracy.

Czy sztuka zmienia życie członków klubu?

Członkowie Stowarzyszenia podkreślają, że sztuka bardzo zmienia ich życie. Jest dla nich radością, pozwala zapomnieć o problemach życia codziennego, o chorobach i troskach, często o samotności. Pozwala łatwiej znosić wszelkie niedogodności życiowe. Sztuka pomaga dostrzec piękno świata, przyrody, życia, a tworząc ją, można się tym pięknem dzielić. Jednym głosem twierdzą, że sztuka „wyrwa” ich z domu, nie pozwala gnuśnieć, nakazuje działać, bywać, zwiedzać i ciągle się rozwijać.

Agnieszka Nowacka, Retrospekcja, akwaforta, 2012



Idea Uniwersytetu Trzeciego Wieku w ciągu ostatnich kilkunastu lat zmieniała się, ewoluowała. Jak obecnie funkcjonuje UTW w Olsztynie?

Pierwszy Uniwersytet Trzeciego Wieku na świecie, założony przez profesora Pierre Vellasa, powstał w Tuluzie już w 1973 r. Dwa lata później (w 1975 r.) powstał pierwszy Uniwersytet Trzeciego Wieku w Polsce założony przez profesor gerontologii Halinę Szwarz, której nosi dziś imię. Głównym celem powstałych uniwersytetów było dążenie do poprawy jakości życia osób starszych przez włączenie ich do systemu kształcenia ustawicznego i utrzymania dobrej kondycji fizycznej, co pomaga w zachowaniu i zwiększaniu intelektualnej, psychicznej i fizycznej sprawności ludzi „trzeciego wieku”. Zainteresowanie i gorące przyjęcie ze strony słuchaczy programów edukacyjnych pierwszych uniwersytetów zaskoczyło samych organizatorów. Sukces sprawił, że zaczęły powstawać następne tego rodzaju uniwersytety w świecie. Nasz, w Olsztynie, był 21 w Polsce. Obecnie jest ich ponad 400. Idea UTW nie zmieniła się, miała i ma zapewnić ustawiczne kształcenie i integrację osób starszych, niepełnosprawnych i bezrobotnych. Zmieniły się może oczekiwania przychodzących do UTW: są młodszy niż w latach, gdy uniwersytety rozpoczęły działania, bardziej roszczeniowi, chcą więcej korzystać niż dawać, ale poza tym idea została ta sama.

Czy emerytura to czas na naukę?

Tak, jak najbardziej emerytura to czas na naukę. Umysł, który się uczy permanentnie, nie rdzewieje. Ma szersze horyzonty, jest ciekawy nowin. Świadomy zmian. I to jest zauważalne wśród uczestników zajęć w uniwersytetach trzeciego wieku. Te zajęcia pomagają dostosować się do czasów obecnych, zaakceptować zmiany i korzystać ze zdobyczy nauki i techniki. Komputery, komórki, bankomaty – obsługi tych urządzeń wielu z nas uczyło się dopiero na zajęciach w UTW. Nasi studenci potrafią poprzez Internet załatwić sobie lot na inny kontynent jak i wizytę u lekarza.

Co zrobić, aby zostać studentem Uniwersytetu Trzeciego Wieku?

Aby zostać studentem Uniwersytetu Trzeciego Wieku trzeba spełnić pewne kryteria. Co zrobić? Dwa razy do roku (wrzesień i luty) w W-M UTW są zapisy. Oczywiście warunkiem jest bycie emerytem/ką lub rencistą/ką. Mieć te 55 lat, jeśli się jest osobą pracującą. Wypełnić deklarację, opłacić wpisowe i semestralne. Nie w każdym UTW w Polsce jest tak dobrze jak u nas. W innych miastach czeka się na miejsce. Potrzebna jest też osoba wprowadzająca – jest nią student UTW ze „stażem”.

Jakie przedmioty, zdaniem członków UTW, powinny znaleźć się w idealnym programie studiów? Czego najchętniej się uczą?

Propozycji programowych jest wiele. Dziś granice Polski mamy otwarte. Nasze dzieci, wnuki są w różnych krajach. Języki obce kiedyś

trzeba było zaliczyć, a teraz się uczy dla siebie, żeby móc się kontaktować ze Światem. Czas komputerów, komórek i... potrzebne są więc zajęcia z informatyki, obsługi komputera, Internetu. I tu się powtórzyć – warto się uczyć, czasami wydaje się nam, że to już nam na nic się nie przyda, jest niepotrzebne – a życie gotuje nam niespodzianki i w najmniej oczekiwanym momencie korzystamy z tego, co było na wykładzie, na zajęciach. Nawet temat tak prozaiczny jak wykład o „ziemniaku” – dostarczył wiedzy – jaki ziemniak do gotowania, na frytki, chipsy czy puree. Teraz przykładowo nośny temat GMO, o zaletach i wadach modyfikowanej żywności, na naszym UTW już kilka lat temu omówił prof. dr hab. Andrzej Rejowski. Są też zajęcia pokazujące zasady samoobrony, mówiące o tym, jak chronić się przed łańcuchowcami, np.: „modne wyłudzenie pieniędzy od dziadków na wnuczka”. Jak zapobiegać chorobom, czy się szczepić – tego wszystkiego się uczymy. A czy to jest idealny program studiów? Chyba nic takiego nie da się opracować. Każdy ma inne wymagania, potrzeby i czegoś innego oczekuje.

Co to jest „trzeci wiek”?

Kiedyś było to 60 lat, generalnie mówi się tak o osobach w wieku emerytalnym. Chociaż teraz optycznie ludzie młodziej wyglądają. Trzeci wiek to możliwość korzystania z przywilejów, jakie z tytułu przejścia na emeryturę mamy, korzystanie z ulg z racji wieku. Również przynależność do UTW jest tym przywilejem, czyli możliwość kształcenia się dla siebie, brania udziału w wycieczkach, wyjściach do kina, teatru, na wieczorek taneczny oraz na inne imprezy ogólnie dostępne.

Czy UTW zmienia życie słuchaczy?

Tak, zdecydowanie. Z UTW jestem związana od 1995 r. i widzę zmiany, jakie zaszły wśród słuchaczy naszego uniwersytetu i nie tylko naszego. Często wyjeżdżając na różnego rodzaju konferencje, nawet już na dworcu mogłam odróżnić grupę słuchaczy UTW od innych. Byli i są to ludzie bardziej otwarci, komunikatywni. Mają więcej do powiedzenia i do opowiedzenia. Codziennosc też jest inna. Oni mają po co się ubrać, umalować i wyjść z domu. Nie siedzą w oknie i nie obserwują, ile sąsiadka toreb z zakupami niesie, idą na wykład, gimnastykę, na spacer itd. Mają możliwości realizowania swoich pasji na które nie było czasu wcześniej – bo nauka, praca, dzieci. Teraz malują, piszą (i wydają), chodzą na naukę tańca i śpiewają w chórach. Uczestniczą też w zajęciach organizowanych przez inne instytucje, np. MOK, GOK, IKCh, WBP, CEiIK i inne działające w mieście. Angażują się w działalność charytatywną. Pracują jako wolontariusze na rzecz dzieci, osób starszych jak również środowiska lokalnego. Korzystają z imprez organizowanych przez instytucje kulturalne działające w mieście jak i w kraju. Wszędzie, gdzie coś ciekawego może się zadziać – są słuchacze uniwersytetów i akademii trzeciego wieku.

Waldemar Tychek

Dziedzictwo, czyli replikatornia memów

Według koncepcji Richarda Dawkinsa, autora *Samolubnego genu*, o przekazaniu ładunku genowego decydują pewne kompleksy genowe, które są w sposób naturalny adaptowane. Tak najprawdopodobniej dziedziczy się określone predylekcje w zakresie umiejętności, talentów i zainteresowań. Oczywiście sekwencja genu nie musi być powtarzana w każdym pokoleniu, co znaczy, że naszym „dawcą” wcale nie musi być jedynie nasz ojciec lub matka. Na nasz „szkielet genowy” mogą składać się nasi dalecy przodkowie. Stąd też „dziedziczymy” nie tylko te dobre skłonności, ale też i te złe. Okazuje się, że np. genetycznie uwarunkowany temperament ma wpływ na nasze zdrowie, ale dziedziczna skłonność do chorób ujawni się jednak tylko wtedy, gdy stworzymy jej do tego określone, korzystne warunki. W przypadku przekazywania dziedzictwa kulturowego rzecz się ma podobnie, aczkolwiek przebiega inną drogą. Jednostką przekazu kulturowego jest mem. Dawkins stwierdza: „Tak jak geny rozprzestrzeniają się w puli genowej, przeskakując z ciała do ciała za pośrednictwem plemników lub jaj, tak memy propagują się w puli memów, przeskakując z jednego mózgu do drugiego w procesie szeroko rozumianego naśladownictwa”¹. Przykładami memów mogą być postawy, idee, melodie, sztuka oraz język, który również ewoluuje. Cechą, która ma decydujące znaczenie przy przetrwaniu i replikacji określonego memu, jest jego powtarzalność (naśladownictwo) i wierność oryginałowi. Gwara warmińska zanikała, bo wymierali ci, którzy w sposób najwierniejszy potrafili się nią posługiwać. Należy zatem złożyć niski pokłon Edwardowi Cyfusowi, który z pomroków niebytu wydobyl „mózienie po warnijsku” i wraz ze swoim uczniem – Łukaszem Ruchem – propaguje kulturę językową (choć nie tylko!) Warmii.

Przekazywanie elementów tradycji i dziedzictwa kulturowego w obrębie znanych rodzin z naszego regionu przebiegało w sposób niejako naturalny. W rodzinie Piechockich – ojciec Witold² nie dość, że swojemu synowi Stanisławowi zasugerował prawo jako kierunek studiów³, nie dość, że „wyposażył” go w talent literacki, to dodatkowo w ich domu bardzo często bywali m.in. Władysław Gębik, Klemens Oleksik czy też Henryk Panas, co doskonale sprzyjało swoistej transmisji kulturalno-literackiej⁴. Już w 1975 roku Stanisław został członkiem Koła Młodych ZLP w Toruniu, a w latach osiemdziesiątych opublikował cztery powieści. W latach dziewięćdziesiątych i na początku XXI wieku stał się jednym z najbardziej znanych popularyzatorów najnowszej historii Olsztyna.

W przypadku niedawno zmarłego Władysława Ogrodzińskiego – historyka, redaktora, pisarza i „człowieka-instytucji” Warmii i Mazur – pierwszą replikacją kulturowych memów obdarował go ojciec,

Wincenty Ogrodziński, znany historyk literatury i filolog klasyczny. Syn Władysława – Wojciech Ogrodziński, przejął po ojcu nie tylko zainteresowania literaturą, ale i zamiłowanie do badania i popularyzacji historii regionu, od lat bowiem związany z olsztyńskim radiem jest autorem wielu audycji, reportaży społecznych i filmów dotyczących Warmii i Mazur. Przedstawicielką czwartego już pokolenia rodziny Ogrodzińskich jest Marta Ogrodzińska-Miłoszewska – córka Wojciecha. Początkowo próbowała się realizować jako dziennikarka, ale okazało się, że to jej nie wystarcza. Obecnie pracuje jako – znana w Polsce – reżyserka teatralna oraz wykłada na Wydziale Reżyserii Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza i w Katedrze Scenografii Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

Memy kultury, według Susan Blackmore⁵, po okresie ich replikacji („przenoszenia” między ludźmi, co zazwyczaj występuje w kręgu najbliższych – rodziny, przyjaciół, grupy zawodowej) wędrują dalej, aż zaczynają tworzyć określone wzory zachowań, postaw, wartości i idei. Te z kolei są w całości lub w części inkubowane przez następnych „noscicieli” i przekazywane dalej. Po pewnym czasie pierwotny charakter niektórych wartości, postaw i idei zmienia się, a niektóre po prostu zanikają. Nie znaczy to jednak, iż zanikają ostatecznie. Ich stan można określić jako „uśpienie”, ponieważ przy stworzeniu odpowiednich warunków odzywają i egzystują, przystosowując się do zastanych zmian.

W rodzinie Małków tradycje przywiązania do języka, wiary i ziemi mazurskiej można prześledzić już od ojca Karola Małka – Wilhelma, który jako jeden z czołowych przedstawicieli gromadkarzy mazurskich⁶ walczył o zachowanie języka polskiego podczas nabożeństw dla katolików oraz aktywnie działał w Mazurskiej Partii Ludowej. Jego syn Robert, w 1939 roku, w lesie koło Działdowa, został rozstrzelany przez hitlerowców. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Jestem Polakiem. Niech żyje...” – i „Polska” już nie zdążył wypowiedzieć. Edward – absolwent polskiego seminarium nauczycielskiego w Działdowie, oficer, biorący udział w wojnie 1939 roku i sekretarz tajnego Instytutu Mazurskiego, po wojnie został starostą w Nidzicy, ale nie mogąc obronić miejscowej ludności przed wysiedlaniem i gwałtami stosowanymi przez NKWD, został księdzem ewangelickim i wyemigrował⁷. Najsympatyczny z braci Małków – Karol, zwany „królem Mazur”, stanowił już osobną, legendarną kartę w historii nie tylko swojej rodziny, ale i naszego regionu. Stał się symbolem walki o polskość, nauczycielem i popularyzatorem kultury i historii Mazur. Wraz z jego śmiercią w 1969 roku memy „mazurskości” przeszły w stan uśpienia. Wzmocniły się za to tradycje nauczycielskie, której bardzo aktywną realizatorką była także żona Karola – Wilhelmina. Synowie Janusz i Leopold również zostali

nauczycielami, przy czym Janusz profesorem specjalizującym się w historii Prus⁸. Wydawałoby się zatem, że „mazurskość” przestała się replikować – jednak nie do końca. Obecnie znów zaczyna się mówić o dalekich rodowodach mazurskich i – niejako przy okazji – o języku pruskim, nad którego odbudowę pracuje grupa miłośników zafascynowanych dawną kulturą Prus. Nie możemy się jednak łudzić, że wymarły w XVII wieku język pruski odżyje. Nie te warunki i brak „replikatorów” do naśladowania!

Memetyka nie jest co prawda czystą teorią ewolucji kulturowej, ponieważ bazuje w głównej mierze na aparacie pojęciowym ewolucji biologicznej, której podstawowym elementem jest gen. Z kolei najmniejsza jednostka informacji kulturowej – mem, nie jest tożsama z genem w żadnej postaci. Dodatkowo rezultaty innych nauk (socio-biologia, psychologia społeczna, kogniastyka i inne) są skwapliwie przyswajane przez memetykę. I nie byłoby w tym nic dziwnego – wszak mechanizm powstawania innych teorii także wykorzystuje osiągnięcia pokrewnych nauk – gdyby istniała możliwość weryfikacji memetycznego cyklu życia. Niestety, jak na razie empirycznie zbadane mogą być jedynie proste memy i to w kontekście wzajemnego współzawodnictwa o przetrwanie. Na ile zatem, przykładowo, wpływ na wybranie drogi życiowej i naukowej przez prof. Janusza Małkka miały geny, a na ile memotyp wytworzony przez ród Małków? Czy, gdyby nie uczestniczył w rozmowach prowadzonych przez ojca z różnymi osobami na temat historii Prus i nie rozczytywał się w ewangelickich Kalendarzach Królewsko-Pruskich, jego zainteresowania potoczyłyby się innym torem?

Biorąc pod uwagę komplementarny charakter naszego rodzinnego dziedzictwa kulturowego, łatwiej chyba nam jest zrozumieć nasz rodowód, gdy próbujemy go pojmować jednak jako proces ewolucji biologicznej i kulturowej.

¹Richard Dawkins, *Samolubny gen*, Warszawa, 1996, s. 267.

²Witold Piechocki był sędzią-cywilistą, tłumaczem literatury niemieckojęzycznej i prozaikiem.

³Stanisław, tak jak ojciec, ukończył Wydział Prawa UMK w Toruniu i po studiach również wybrał aplikację sędziowską.

⁴Wspomina o tym S. Piechocki w swojej książce *Olsztyn nie tylko magiczny*, Olsztyn, 2005, s. 161.

⁵Susan Blackmore, *Maszyna memowa*, Poznań, 2002, s. 27-28.

⁶Był to ruch religijno-narodowy zapoczątkowany w kościele luterańskim w pierwszej połowie XIX wieku. Członkowie zbierali się w grupach (gromadach) i pod przewodnictwem wybranych przez siebie kaznodziei modlili się i czytali Pismo Święte.

⁷Gdy w Polsce zmienił się ustrój, Edward co roku przyjeżdżał na Mazury. W roku 1995 podczas takiej podróży już na samym dworcu głównym w Olsztynie nagle zmarł.

⁸Tym zabiegom sprzyja np. przetłumaczony z niemieckiego na język pruski tekst katechizmu Marcina Lutera *Enchiridion Pruski*.



Aleksander Woźniak, bez tytułu (figura), drzeworyt, sadza, odbitka poza nakładem, 2011



Aleksander Woźniak, bez tytułu (figura), drzeworyt, 2011

Arno Holz

Wiersze z *Phantasusa* (1898)

w przekładzie Krzysztofa D. Szatravskiego

* * *

Z ciężkiego snu
zbudzony nagle
– jeszcze wszystko jest ciemne, leżę tu –
układa się, we mnie, powoli, zwrotka.

Ponad gwiazdami...

Ponad gwiazdami...

Ponad gwiazdami wisi harfa.

Błogo siedzi noc i śpiewa.
Śpiewa, że złąknione serce kołacze!

Ze strun kapią słońca krople.

Ponad gwiazdami wisi harfa,
błogo siedzi noc i śpiewa!

Oczy zamknięte, zaciśnięte zęby,
obym nie zaszlochał!

* * *

Małe, zalane słońcem ogrody
z kolorowymi altanami, dyniami i szczypiorkiem.

Jeszcze skrzy się rosa.

Nad bliskim horyzontem domów wznoszą się wieże.

Poprzez monotony szum na budowie,
od czasu do czasu,
wyją syreny fabryczne,
biją dzwony.

Na tyczce chmielu siedzi wróbel.

Stoję oparty o stary druciany płot
i przyglądam się, jak nad grządką astrów
Krążą dwa bielinki kapustniki.

* * *

Nad łóżkiem wisi, oprawny w ramę, mirtowy wieniec.
Kiedyś przed laty
maszyna do szycia stała przy oknie;
kanarek śpiewał.

Teraz
wszystko inaczej!

Wieczorem,
gdy pali się czerwona lampa,
przychodzą do izdebki obcy panowie;
stary, młody, jak się trafi.

Dobry Boże – życie!

Tylko czasami,
gdy na zewnątrz deszcz dachy chłoscze,
nocą,
nikt nie słyszy,
kobieta siedzi i płacze...

Zmarły mąż! Nieszczęsne dzieci!

* * *

Jestem gwiazdą. Błyszczę.

Błade od łez
podnosisz do mnie swe oblicze;
twoje dłonie,
płacząc.

„Pociesz mnie!”

Błyszczę.

Wszystkie moje promienie
drżą w twoim sercu.

Dariusz Szymanowski

Francesco Hayez albo wstyd

The National Gallery. Londyn. Niedzielne popołudnie. Przed budynkiem kolejna wojna przeciwko innej nieskończonej wojnie. A w środku spora sala, tuż przed Impresjonistami. Mało w niej ludzi, wszyscy pobiegli już przed Van Gogha. Nie wiem, co w nim widzą. Na mnie nie robi wrażenia. Ale w przedsionku do Moneta, w samym rogu, ona. Naga i patrząca na mnie. I nic teraz, poza jej wzrokiem, nie istnieje.

Cała utkana jest ze światła i jak żadna inna wie dobrze o swojej urodzie. Na ten jeden moment zapomina o swoim mężu. A on, poczciwy stary Joakim, pochylony nad teorią pomnażania pieniędzy, nigdy nie dowie się o mojej obecności. Zostaliśmy więc tu sami. Czy aby na pewno? Wiem, wiem przecież, że jestem jak oni. Dwóch starszych z ludu, których opanowała pożądliwość. Pewnie ukryli się gdzieś, czekając na swoją kolej. Pod jakim lentyszkim i pod którym dębem? Może stoją dla niepoznaki jeszcze przed Rembrandtem i tylko co jakiś czas któryś wychyli się, by spojrzeć, czy jeszcze tu jest.

Lecz moja chęć posiadania ogranicza się do czystego spojrzenia. A jednak zaskoczona Zuzanna patrzy na mnie oskarżycielskim

wzrokiem. Może ma mnie za bywalca tawern, portowych spelunek i domów publicznych. Zawstydzą mnie. Pociąga za sobą linia jej piersi, pośladków i nóg, tuż przed zanurzeniem w wodzie. Skąd w niej tyle spokoju? – pytam i nie znajduję odpowiedzi. Chciałbym zatrzymać dla siebie tę chwilę, jak wtedy, gdy w szkole zakochałem się w uśmiechu starszej koleżanki.

Zuzanna. Przelotna miłość pozbawiona krwi. Pewna, że nikt nigdy nie będzie w stanie dotknąć jej świętej skóry. Zuzanna o oczach wiedzających. Zuzanna doświadczona.

Gdzie ją widziałem? Widziałem na pewno. Może minąłem ją przy Covent Garden, a może przy Kensington Road, w metrze, na kręconych schodach, w tłumie gapiów i na którymś moście? Czy będzie, gdy wrócę? Już zawsze dwudziestoparoletnia.

W końcu wracam do domu. Mijając kolejne przecznice, próbuję zapamiętać wyraz jej twarzy. Na miejscu odnajduję album włoskiego romantyzmu i nagle wydaje mi się taka pospolita. Doprawdy nic szczególnego. I nie pamiętam już, co lub kto mnie wiódł przed białe oblicze. I co kazało mi trwać przy niej, w rogu pustej sali.



Francesco Hayez, Bather viewed from behind, 1859

POKOLENIA KULTURY KULTURY POKOLENIA POKOLENIA KUL



tu wklej
swoje
zdjęcie

Fot. Siergiej Treń